

Anne MacAllister

Wigilijny dar

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na Conch Cay nic nie zapowiadało zbliżającej się Gwiazdki.

Carly od samego początku - gdy motorówka wiozła ją do przystani - odnosiła wrażenie, że na tej maleńkiej, porośniętej palmami wysepce, jakby zagubionej gdzieś na oceanie - święta Bożego Narodzenia w ogóle nie istniały.

Nie sprzedawano tu choinek - tak jak na każdej nowojorskiej ulicy; spod daszku urzędu celnego nie zwieszały się błyszczące girlandy, które o tej porze zdobiły nawet mały, koreański sklepik, gdzie Carly co wieczór robiła zakupy. Próżno by oczekiwać, że ktoś zadzwoni dzwoneczkami i zawoła: Wesółych Świąt! - jak choćby ten człowiek z Armii Zbawienia, którego co rano mijala w drodze do wydawnictwa. Na Conch Cay równie dobrze mógłby być czerwiec.

I dzięki Bogu, pomyślała Carly. Zastała tu atmosferę, na jaką w głębi duszy liczyła. Na Conch Cay chciała przecież zapomnieć o tegorocznych świętach.

Minęły zaledwie trzy miesiące od śmierci jej matki. Mimo że dostała zaproszenie, nie miała ochoty spędzać świąt w Kolorado w towarzystwie ojczyma i przyrodnych sióstr. Wspomnienia o ostatnim cudownym roku były wciąż żywe w jej pamięci i przywoływanie ich potęgowało ból.

Być może z czasem nauczy się patrzeć na ten ostatni rok, w którym jej matka dzięki małżeństwu z Rolandem zaznała znów szczęścia, ze spokojem, uśmiechem i filozoficzną zadumą. Być może kiedyś będzie mogła odwiedzić Rolanda i dziewczynki, nie zadając sobie okrutnie dziś bolesnego pytania, dlaczego szczęście trwało tak krótko... Ale jeszcze nie teraz.

Nie chciała również skorzystać z zaproszenia Johna, swego przyjaciela, do jego domu rodzinnego w Buffalo,

ponieważ zbyt poważnie traktował ich związek. Po prostu... chciał się z nią ożenić.

Carly, co prawda, nie miała nic przeciw małżeństwu - ale jednocześnie pragnęła miłości. A Johna nie kochała... przynajmniej na razie. Właściwie nie była pewna, czy kiedykolwiek go pokocha.

Nie chciała również spędzać świąt na Conch Cay.

Ale w tej chwili rozwiązanie to wydawało się najmniejszym złem. Zgodnie z poleceniem swojej szefowej miała tu wykonać proste zadanie: pomóc Piranowi St Justowi w dokończeniu książki.

Ta myśl nadal wprawiała ją w zakłopotanie.

Gdy w zeszłym tygodniu Desmond, młodszy brat Pirana, pojawił się w redakcji - wprost oczom nie chciała uwierzyć. On również był zaskoczony, gdy okazało się, że redaktorką ich ostatniej książki była - ni mniej, ni więcej - tylko przyrodnia siostra!

- Nie uniknie się przeznaczenia - oświadczył wówczas górnolotnie Des, otaczając ją ramieniem. Potem zwrócił się do Diany, naczelnej redaktorki: - Nie uważasz, że trudno by było znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego, kto mógłby zamiast mnie pojechać na Conch Cay i popracować z Piranem? Nasza siostrzyczka...

- Przyrodnia - poprawiła go szybko Carly. - Właściwie, była przyrodnia siostra - dodała.

- Niezupełnie - wtrącił Des. - Oni się nie rozwiedli. Tata zmarł.

- Co wcale nie oznacza, że jesteśmy spokrewnieni - oświadczyła stanowczo w nadziei, że Diana właściwie zrozumie jej powiązania z braćmi St Just.

Ale Diana wcale jej nie słuchała. Słuchała Desmonda. Ostatecznie to on był częścią bestsellerowego tandemu

pracującego dla wydawnictwa Bixby Grissom. Carly była jedynie zastępcą redaktora.

- Ona zrobi to znacznie lepiej niż ja - tłumaczył Des. - Zobaczysz, że spodoba ci się książka, której akcja dzieje się na Fidżi...

Diany nie trzeba było długo przekonywać. Co innego Carly. Z początku broniła się przed wyprawą na wyspę. Nie chciała odgrzebywać znajomości z braćmi St Just. Desa, mimo że kiedyś się lubili, po śmierci ojczyrna w ogóle nie widziała. I byłaby szczęśliwa, gdyby do końca swoich dni nie spotkała jego starszego brata!

Kiedy jej matka poślubiła Arthura St Justa, Carly była nastolatką. Uległa wówczas młodocianej, wybujałej fantazji, że Piran St Just jest jej prawdziwą miłością. Na sam dźwięk tego imienia ciało jej przenikał rozkoszny dreszcz oczekiwania.

Dreszcz, który poczuła teraz był całkiem innego rodzaju.

- No, Carly, nie zrób mi zawodu - przymilał się Des.

Ale z całą pewnością nie uczyniła tego dla Desa. Pojechała na Conch Cay, ponieważ kochała swoją pracę i nie chciała jej stracić.

- Lubisz przecież pracę w naszym wydawnictwie, nieprawdaż? - rzuciła zdawkowo Diana, ale ukryty sens tych słów łatwy był do odczytania.

- Pojadę - poddała się w końcu Carly.

Za chwilę więc, po dziewięciu długich latach, stanie twarzą w twarz z Piranem. Zastanawiała się, co sobie pomyślał, gdy dowiedział się o jej przyjeździe. Z pewnością, podobnie jak ona, nie był tym faktem zachwycony.

Byli już dorośli; powinni więc sobie poradzić, pocieszała się. Właściwie odczuwała pewną perwersyjną przyjemność na myśl, że Piran zobaczy ją jako kobietę dojrzałą.

- Pan St Just pani oczekuje? - spytał Sam, przewoźnik, gasząc silnik i ostrożnie cumując łódź do nabrzeża.

Nikt na nią nie czekał; w pobliżu nie było nikogo prócz dwóch mężczyzn siedzących w cieniu i grających w domino.

- Oczywiście - powiedziała z dużą pewnością siebie, ale w jej sercu zagościł niepokój. Czyżby Des go nie zawiadomił...? - Jestem pewna, że pan St Just dzwonił - dodała po chwili.

- Pan St Just nie ma telefonu - powiedział Sam.

- Miałam na myśli pana Desmonda...

- Aha. - Sam skinął głową. - Z pana Desmonda to pędziwiatr. Gdzie się teraz podziewa?

- Myślę, że teraz jest na Fidżi - odrzekła Carly. Przełożyła turystyczną torbę z jednej ręki do drugiej. - Mówił mi, że zadzwoni i powiadomi brata.

Sam wygramolił się z łódki, wziął od niej torbę, a potem wyciągnął rękę i pomógł jej wysiąść.

- Słuchaj, Ben - zwrócił się do jednego z mężczyzn siedzących na nabrzeżu. - Czy pan Desmond dzwonił do ciebie?

- Nie. - Mężczyzna nazwany Benem ze współczującym wyrazem twarzy potrząsnął ciemną głową. - Może do ciebie dzwonił, Walter?

Walter także potrząsnął głową.

- Nie rozmawiałem z panem Desmondem - powiedział. - Ale przecież nie ma problemu - zwrócił się do Carly. - Zawieziemy panią do pana St Justa.

Carly nie liczyła na to, że Piran będzie na nią czekać, ale myślała, że przynajmniej wiedział o jej przyjeździe. Niestety, wszystko wskazywało na to, że pojawi się u niego zupełnie bez uprzedzenia! Obleciał ją nagły strach. Od pierwszej chwili, gdy uległa namowom Desmonda i niezbyt subtelnemu szantażowi szefowej, miały ją rozliczne wątpliwości. Teraz

jednak wątpliwości zaczęły mnożyć się jak króliki. Oblizwała spierzchnięte wargi.

- A więc nikt nie powiedział wam, że przyjadę? - postawiła retoryczne pytanie.

- Nikt, panienko. Spodziewaliśmy się tylko pana Desmonda. Pan St Just wścieka się już od tygodnia, że brat opóźnia przyjazd. - Ben zachichotał i znów potrząsnął głową.

- On jest na Fidżi! - zaśmiał się Sam. - Wyobrażacie sobie? Ale pan St Just się zdziwi!

Tego właśnie Carly bała się najbardziej. Ale czy miała wyjście? Nawet jeśli Des nie byłby tak daleko, a jej praca nie zależała tak bardzo od tego, czy przywiezie kolejną książkę braci St Justów - nie mogła wrócić do Nowego Jorku. W tej chwili po prostu nie miała dokąd wracać, udostępniła bowiem swoje mieszkanie sąsiadowi, który zaprosił na święta rozwiedzioną siostrę z Cleveland wraz z trójką dzieci.

Carly przymknęła powieki; zastanawiała się, czy święta w Kolorado albo Buffalo mimo wszystko nie byłyby lepszym rozwiązaniem.

- A więc chce pani jechać? - spytał Ben, powoli wstając i kierując się w stronę sfatygowanej furgonetki z wymalowanym na drzwiach napisem „Taxi”.

Oczywiście, że nie chciała... Ale czy miała wybór? Do licha, nie będzie się teraz zastanawiać, co powie Piran, gdy ją zobaczy...

- Jedziemy - powiedziała do Bena z udawanym zapałem. Jakkolwiek na spotkanie z Piranem jechała niechętnie, z przyjemnością rozglądała się wokół, gdy Ben wąskimi, wyboistymi drogami wjeżdżał na wzgórze. Było tu dokładnie tak samo pięknie jak przed laty, gdy Arthur przywiózł je tutaj po raz pierwszy. Pomyślała wówczas, że Conch Cay przypomina Eden. I dziś, po dziewięciu latach, nie zmieniła zdania.

W kilka minut opuścili osadę, o tej samej co wysepka nazwie, i wąską, asfaltową drogą porośniętą bujną, tropikalną roślinnością jechali pod górę na zawietrzną stronę wyspy. Co pewien czas poprzez konary drzew i krzewów widziała Carly zarysy domu, a w miarę zbliżania się do plaży od strony oceanu dochodził jej uszu szum fal ocierających się o piasek.

Z narastającym podnieceniem i niepokojem oczekiwała skrętu w wyżwirowaną drogę, wiodącą prosto do Blue Moon Cottage, domu St Justów.

- Ale pan St Just się zdziwi - powiedział Ben, jadąc podjazdem z wyżłobionymi koleinami, prowadzącym prosto do domu. - Oczywiście, nie powinien być bardzo wściekły... Jest pani o wiele ładniejsza od pana Desmonda.

Być może dla innej kobiety byłoby to atutem - ale nie dla niej...

Ileć wspaniałe wspominała ostatnie, burzliwe spotkanie z Piranem, ciągle czuła ból w sercu niczym ostry cierń. Ale gdy w końcu ujrzała dom o ścianach koloru chłodnego błękitu, postanowiła się opanować. Przywołała na pomoc całą siłę, determinację i dojrzałość.

Na dźwięk nadjeżdżającej furgonetki tylne drzwi domu otworzyły się i na szerokiej, zacienionej werandzie pojawił się mężczyzna.

Nie miało znaczenia, że przez ostatnie dziewięć lat Carly widywała Pirana tylko w telewizji i na fotografiach w czasopiśmie. Poznałaby go wszędzie.

Był wysoki, ciemny, nie ogolony; czarne jak noc włosy wymagały ręki fryzjera. Takim go zawsze pamiętała. Zacisnęła twarde, stanowczą szczękę, widząc, że to nie Desmond przyjechał z Benem. Minę miał nachmurzoną, ale nie wyglądał na rozzłoszczonego. Jeszcze nie.

Carly chwyciła głęboki oddech, rozciągnęła usta w chłodnym, zawodowym uśmiechu i energicznie wysiadła z samochodu.

- Piran! - zawołała, wdzięczna losowi, że jej głos nie zdradził podniecenia. Miała na nosie ciemne okulary, nie mógł więc niczego wyczytać z jej oczu. - Minęło tyle lat...

Zauważyła, jak nagle rozszerzają mu się źrenice, jak przymruża powieki i zaciska mocniej szczękę.

- Carlota?

Nikt jej tak nie nazywał. Nawet matka, która nadała jej to okropne imię.

Piran wymówił to imię takim głosem, jakby nagle uszło mu z płuc powietrze. Gdy objął dłonią filar werandy, Carly spostrzegła, że kłykcie mu zbielały.

- Widzę, że mnie nie zapomniałeś...

- Co ty, u diabła, tu robisz? - wybuchnął.

- A więc Des nic ci nie powiedział?

- Des? - Zmarszczył brwi. - Co ma z tym wspólnego Des?

- To on mnie tu przysłał. A właściwie przekonał moją szefową, żeby to zrobiła.

- O czym ty mówisz? Dlaczego, do cholery, miałby cię tutaj przysyłać? Jak cię znalazł? - Te ostre i szybkie jak smagnięcia batem słowa świadczyły, że teraz był naprawdę wściekły. - O czym ty mówisz? - powtórzył. - Gdzie on jest?

- W drodze na Fidzi... - odpowiedziała drżącym z emocji głosem. Właściwie zabrzmiało to jak pytanie.

- Co takiego?! - To był okrzyk niedowierzania, a zarazem furii.

Dziewięć lat temu Carly byłaby przerażona. Teraz jednak wyprostowała się na długość całych swoich stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów, zdecydowana nie dać się zastraszyć.

- Jim Taylor... Pamiętasz starego przyjaciela waszego ojca...?

- Wiem, kim jest Jim Taylor! - ryknął Piran.

- Właśnie kupił nową łódź i...

- Nie obchodzi mnie nowa łódź Taylora! Gdzie jest Des?

- Chcę ci właśnie powiedzieć! - krzyknęła poirytowanym tonem. - Oczywiście, jeśli się wreszcie uciszysz i pozwolisz mi dokończyć!

Otworzył usta, a potem zamknął je gwałtownie. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami; ręce zaciśnięte w pięści schował do kieszeni spodni.

- Oczywiście, oświeć mnie, Carloto - wycedził.

Carly, zwilżyła językiem spierzchnięte wargi i zaczęła od początku:

- Jim kupił nowy jacht, którym żegluje na Fidzi. Zaprosił Desa do towarzystwa.

- Des żegluje?! - Nie cedził już słów, jego głos był pełen złości.

- Powiedział, że z pewnością zrozumiesz, iż nadarzyła mu się zbyt wspaniała okazja, by z niej nie skorzystać.

- Do wszystkich diabłów! - huknął Piran. - Mamy zobowiązania, umowy! Czy on myśli, że książka napisze się sama? - Wielkimi susami przemierzał werandę w tę i z powrotem.

- Mam ci pomóc dokończyć tę książkę - oświadczyła z pozornym spokojem.

Obrócił się na pięcie i spojrzał na Carly jak na zjawę nie z tego świata.

- Ty? Ty pomożesz mi ją napisać?

Z tyłu dobiegł ich cichy chichot Bena. Ciągłe tam stał i przysłuchiwał się kłótni. Nie ulegało wątpliwości, że przed zapadnięciem zmroku dowie się o niej cała wyspa.

- Przedyskutujemy to za chwilę - powiedziała przytomnie.
- Wezmę tylko torbę i porozmawiamy w domu.

- Nie przestąpisz progu!

- Piran...

- Nie wejdiesz! Nie mam pojęcia, co wykombinował Des, ale ty natychmiast wsiądziesz do furgonetki i wrócisz tam, skąd przyjechałaś.

Carly, słysząc, jak Ben krztusi się ze śmiechu, oblała się rumieńcem.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała cichym głosem. - Nie po to jechałam taki szmat drogi, żebyś mnie odsyłał z powrotem. - Odwróciła się stanowczo i pomaszerowała do samochodu po bagaż. - Ile płacę? - spytała Bena.

- Osiem dolarów - odpowiedział z szerokim, porozumiewawczym uśmiechem.

Zignorowała złośliwy uśmiech, wyjęła z torebki banknot i podała mu.

- Co ty wyprawiasz? - zawołał Piran, widząc, że Ben siada za kierownicą.

- Pan St Just naprawdę jest wściekły - stwierdził Ben, wychylając się przez okno. - Na pewno chce pani zostać?

Carly wcale nie była pewna, ale przecież nie miała wyjścia. Diana wyraziła się nader jasno. Bez kolejnej rewelacyjnej książki braci St Justów o przygodach archeologów na tropie tajemnic przeszłości, nie miała po co wracać do Nowego Jorku.

Tak czy inaczej, jak on śmiał zachowywać się w ten sposób?!

- Jestem całkiem pewna - powiedziała zirytowana.

Ben tylko wzruszył ramionami i zaczął wycofywać samochód.

- Ben! - Piran zbiegi ze schodów. - Dokąd jedziesz? Wracaj natychmiast!

Ale Ben dobrze wiedział, że w tej chwili najlepiej usunąć się z pola widzenia. Żwir tylko prysnął spod kół furgonetki i samochód zniknął za zakrętem.

Minęła dobra minuta, nim Piran odwrócił się do Carly.

- Jak widzę, charaktery ludzkie nigdy nie ulegają zmianie, nieprawdaż, Carloto? - odezwał się nieprzyjemnym tonem, mierząc ją od stóp do głów.

- Nie rozumiem - odparła spokojnie, wytrzymując jego spojrzenie.

- Nadal jesteś fałszywą, małą intrygantką - oświadczył. Kości zostały rzucone. Nie musiała na to długo czekać.

Była to prowokacja tak samo wyraźna, jakby uderzył ją w twarz.

I pomyśleć, że przez krótką chwilę, nim jeszcze wyrzucił z siebie ten stek oszczerstw pod jej adresem - prawie mu współczuła. Zrobiło jej się żal, że brat go opuścił i będzie musiał, chcąc nie chcąc, poradzić sobie tylko przy jej pomocy..

Teraz jednak, gdy usłyszała te obrzydliwe i niesprawiedliwe słowa, wstąpiła w nią furia. Dobrze mu tak! Przeklęty, napuszony osioł! Jakże była naiwna i głupia, myśląc, że uda im się przez to przejść bez wstrząsów. Na próżno łudziła się, że po tylu latach zmienił o niej zdanie...

Kiedyś, na samym początku, stanął w jej obronie. Jednak wówczas nie wiedział, z kim ma do czynienia... To było w Santa Barbara, miesiąc po ślubie jej matki z Arthurem St Justem. Piran nie pojawił się na weselu z powodu wyjazdu na uniwersytet na Wschodnie Wybrzeże. Miał przyjechać dopiero na ferie wiosenne.

Tego dnia zwlekała z opuszczeniem plaży, ponieważ przy schodach na górę stromego wybrzeża stała grupka podchmielonych studentów. Raz po raz spoglądali w jej stronę, gwizdali i robili nieprzyzwoite propozycje. Gdy

wreszcie zaryzykowała i spróbowała przejść obok nich niepostrzeżenie, jeden młodzian chwycił ją wpół i przycisnął do siebie.

- Puść! - krzyknęła. - Zostaw mnie w spokoju!

Gdy bezskutecznie walczyła, usiłując się oswobodzić, jak spod ziemi pojawił się wybawiciel.

Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała, odepchnął od niej pijanego napastnika:

- Głuchy jesteś? - warknął groźnie. - Ta dama powiedziała, że chce, byś zostawił ją w spokoju.

- Dama? - roześmiał się napastnik, - A kto mówi, że ona jest damą?

- Ja! - obrońca Carly stracił cierpliwość i po chwili pijany student leżał na piasku jak długi. - Przeproś tę damę! Natychmiast! - rozkazał.

Pozostali chłopcy najwyraźniej nie zamierzali nadstawiać karku w obronie kolegi, i zaczęli się cichaczem rozchodzić. Nie mając znikąd odsieczy, student chwiejnie podniósł się z ziemi.

- Przepraszam - wymamrotał, rzucając Carly wściekłe spojrzenie. I uciekł.

- Wszystko w porządku? - Młody mężczyzna zajrzał Carly w oczy, uśmiechając się łagodnie. Miał najpiękniejsze niebieskie oczy i najbardziej zniewalający uśmiech, jaki kiedykolwiek w życiu widziała. - Już po wszystkim - dodał tonem otuchy i objął ją wpół ramieniem.

Powinna się wystraszyć, ale wcale nie czuła strachu. Przeciwnie, czuła się bezgranicznie bezpieczna.

Dobrze pamiętała, że właśnie wtedy spojrzała mu w twarz i pomyślała... Och, i pomyślała, że znalazła mężczyznę, z którym pragnęłaby spędzić resztę życia!

- Dziękuję - wykrztusiła.

Uśmiechnął się szerzej i delikatnie pogładził ją po policzku.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Puścił do niej oko i spytał, czy może odprowadzić ją do domu. Wtedy się dowiedział, tam ona jest. - Mieszkasz w różowym domu? Tym dużym? - upewniał się z kwaśną miną.

- Tak. Dopiero się wprowadziłyśmy. Moja mama wyszła za mąż za profesora...

- ... St Justa - dokończył bezbarwnym głosem. - To mój ojciec.

Tak właśnie poznała Pirana. Później zorientowała się, że nie przyjechał na ślub ojca, ponieważ nie aprobował tego małżeństwa. Uważał, że matka Carly - niewykształcona tancerka - nie dorasta do poziomu rodziny St Justów. Des, jakkolwiek bez entuzjazmu, zaakceptował macochę, ale w oczach Pirana pozostała na zawsze kobietą polującą na majątnego męża. I nie ukrywał swojej opinii.

Sue, wieczna optymistka, pocieszała córkę:

- Piran jest młody, pełen ideałów. Rozwód rodziców bardzo nim wstrząsnął. Sam nie zna jeszcze miłości, więc jej nie rozumie... Dajmy mu trochę czasu.

Carly dała mu całe mnóstwo czasu. Ale odkąd dowiedział się, kim była, traktował ją z chłodną impertynencją. Nie mogła jednak zapomnieć tamtego Pirana - delikatnego, opiekuńczego - takiego, jakim był naprawdę. I żyła nadzieją, że czas, bliskość - oraz jej miłość - zdziałają cuda.

Mijały dni i miesiące w przyjemnej ułudzie - aż wreszcie w dniu swoich osiemnastych urodzin oślepiła ją okrutna prawda. Zrozumiała, że Piran St Just miał chłodny umysł i bezwzględne serce...

Teraz, po dziewięciu latach, stała przed nim, patrząc mu prosto w oczy.

- Myśl sobie, co chcesz, Piran - oświadczyła z całą godnością, na jaką było ją stać. - Nie zamierzam z tobą dyskutować!

- Ponieważ nie masz żadnych argumentów.

- Postaraj się trzymać język za zębami - burknęła. - Nie zapominaj, że mam ci pomóc napisać książkę.

- To jakiś bzdurny pomysł! Zupełnie nie rozumiem, co ty możesz mieć z tym wspólnego.

- Jestem zastępcą Sloana Bescombe'a.

- Chcesz, żebym w to uwierzył? - Roześmiał się szyderczo.

Patrzyli na siebie ze złością. Wyrazista twarz Pirana była zacięta i ponura. Nie zanosilo się na zgodę. Carly z westchnieniem rezygnacji podniosła torbę.

- Jak uważasz - powiedziała. Odwróciła się i zaczęła wolno wracać podjazdem.

Uszła już dobrych kilka metrów, gdy dobiegł ją z tyłu głos Pirana:

- Powtórz, co powiedział Des!

Przystanęła i odwróciła głowę. Stał tam, gdzie go pozostawiła, z rękami wsuniętymi w kieszenie spodni i zaciśniętą szczęką. Ale w wyrazie jego twarzy dostrzegła cień zainteresowania i niepokoju. Czyżby jednak miał wątpliwości... ?

- Już ci mówiłam - odparła, obojętnie wzruszając ramionami. - Des przyjechał do wydawnictwa, żeby przedłużyć termin złożenia książki. Chciał pojechać na Fidżi... Diana, moja szefowa, poinformowała go wówczas, że to ja redagowałam waszą ostatnią książkę...

- Sloan to zrobił.

- Sloan tylko zatwierdził redakcję. Współpracuje z czterdziestoma pisarzami i nie może wszystkiego robić osobiście. Poza tym... on uważa, że znacznie lepiej od niego

znam się na archeologii. - Przekazanie mu tej informacji sprawiło jej wielką frajdę. Czyżby miał zamiar i temu zaprzeczyć?

Piran jednak tylko obojętnie wzruszył ramionami.

- Mów dalej - powiedział.

- Resztę, znasz. Des zaproponował, żebym przyjechała i pomogła ci skończyć książkę.

- Rozumiem, że rzuciłaś się na tę szansę z nadzieją na...

- Mylisz się - przerwała mu, opanowując nerwy. - Mój przyjazd nie ma nic wspólnego z tobą. To tylko zawodowy obowiązek.

- A więc przeszła ci już szaleńcza miłość do mnie, Carloto? - Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - A może, tak jak od początku podejrzewałem, wcale nie byłaś zakochana, tylko leciałaś na pieniądze, podobnie jak twoja mamusia?

Carly odwróciła się z wściekłością i znów zaczęła iść. Jeśli nie chciała go uderzyć, musiała odejść. Tylko to jej pozostało. Nie mogła słuchać obelg pod adresem matki.

To nieprawda! Sue wcale nie była wyrachowana... Przeciwnie, kierowała się zawsze romantycznym idealizmem. W poszukiwaniu doskonałej miłości siedem razy stawiała na ślubnym kobiercu... Cóż, można to było nazwać naiwnością, a nawet głupotą, ale na pewno nie materializmem. Przede wszystkim zaś nie miała szczęścia. Aż do ostatniego związku...

Nie zamierzała tłumaczyć tego Piranowi. To byłoby zbyt upokarzające. Nie będzie bronić matki przed jego niesprawiedliwymi zarzutami! Musi odejść z godnością.

Nim doszła do wylotu alei, usłyszała za sobą kroki.

- Carloto!

Przyspieszyła. Do diabła z nim! Niech sobie zabiera swoją książkę... Dzień był gorący i parny. W samochodzie nie

odczuwała tak dotkliwie upału, ale teraz bluzka przykleiła jej się do pleców. Strużki potu płynęły wzdłuż kręgosłupa i między piersiami aż do paska spodni. Przełożyła torbę do drugiej ręki i szła dalej, ignorując dobiegający z tyłu odgłos ciężkich kroków.

- Carloto, do diabła, wracaj! Nawet się nie zatrzymała, nie odwróciła głowy.

- Carly, ty uparta czarownico, stój! - Chwycił ją za ramię i brutalnie pociągnął do tyłu.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz. Był zasapany, zarumieniony, ciemne włosy lepiły mu się do czoła.

- Puść mnie! - krzyknęła, usiłując oswobodzić ramię.

- Obiecuj, że nie zaczniesz znów uciekać. - Pierś falowała mu gwałtownie.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Musimy porozmawiać; Carloto - przemówił łagodniejszym tonem, ale mocniej zacisnął palce na jej ramieniu.

- Nie będę rozmawiać z kimś, kto obraża moją matkę! Na jego szczęce drgał mały mięsień; niemal czytała myśli,

które przelatowały mu przez głowę - myśli obraźliwe, pełne jadu... Wreszcie puścił jej ramię i znów wsunął ręce do kieszeni płóciennych spodni. Odetchnął głęboko, jakby zbierał myśli, nim odezwał się ponownie:

- Chciałbym wyjaśnić tę sprawę. Pracujesz, jak rozumiem, w wydawnictwie Bixby Grissom i przypadkiem redagowałaś naszą książkę, czy tak?

- Mniej więcej. Des przyjechał, żeby spotkać się ze Sloanem Bescombe'em, ale go nie zastał, spotkał natomiast mnie i wtedy wpadł mu do głowy pomysł. Znasz Desa i jego znakomite pomysły...

- Owszem, znam. - Skrzywił się lekko. - Nie wiem tylko, dlaczego się zgodziłaś?

- Ponieważ lubię swoją pracę i nie chciałabym jej stracić - wyjaśniła natychmiast. - Zapewniam cię, że perspektywa spotkania z tobą nie wprawiła mnie w ekstazę.

Czyżby na policzkach Pirana pojawił się ciemny rumieniec?

- Cieszę się, że to słyszę - burknął pod nosem. Czekwała na dalsze słowa; słońce paliło jej kark, ale Piran więcej się nie odezwał. Zamknął oczy i jeszcze mocniej zacisnął szczękę,

- Mam więc zostać, czy wyjechać? - spytała znużona.

- Chyba nie mam wyboru, jeśli chcę oddać książkę w terminie. - Chwycił głęboki oddech i otworzył oczy.

- Des wspomniał, że macie gotowy szkic...

- Och, Des jak zwykle jest optymistą. Owszem, mamy szkic, ale oględnie mówiąc... pobieżny. O, Boże, jak gorąco... Muszę usiąść. - Usiadł dokładnie tam, gdzie stał, na samym środku drogi, i położył głowę na podciągniętych kolanach.

Carly popatrzyła na niego z niepokojem; przykucnęła, aby przyjrzeć mu się dokładniej.

- Dobrze się czujesz, Piran...?

Nie odpowiedział; oddychał płytko, urywanie.

- Piran, na litość boską, co ci jest? - spytała przerażona. Wolno podniósł głowę; twarz miał szarą jak popiół.

- Nic - powiedział głuchym głosem,

- Jak to nic? Po prostu sobie odpoczywasz?

- Odpoczywam.

- Jesteś chory - oświadczyła ze zdumieniem. Potrząsnął głową; na czole i górnej wardze perliły mu się kropelki potu.

- Jakiś czas temu miałem wypadek podczas nurkowania - przyznał. - Nic wielkiego.

Carly zdawała sobie sprawę, że nie było wypadków podczas nurkowania, które można by bagatelizować. Dlaczego Des nic o tym nie wspomniał? Jak mógł zostawić chorego

brata samego...? Och, taki właśnie był Des - nieodpowiedzialny!

Piran powoli wyprostował kręgosłup, a potem położył się na ziemi, podkładając ręce pod głowę. Obserwowała z niepokojem jego długą szyję, mocno zarysowany podbródek i pospiesznie wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową.

- Co to był za wypadek? - spytała łagodnie.

- Musiałem zbyt prędko się wynurzyć... Zraniłem się w nogę o koralowce. Rana nie była duża, ale obawialiśmy się rekinów... - Głos mu zamarł na chwilę; gdy spojrzał na Carly, musiał zauważyć przerażenie czające się na dnie jej oczu.

- Byliśmy tam we dwóch - ciągnął. - Tamten, choć nie był ranny, czuł się gorzej niż ja, a mieliśmy tylko jedną komorę dekompresyjną. Wszedł do niej pierwszy...

- Mogłeś umrzeć! - Słowa wyrwały jej się jakby same. Nie potrafiła ich powstrzymać.

- Żałujesz, że tak się nie stało, prawda? - roześmiał się drwiąco.

Popatrzyła nań ze złością.

- Czasami zachowujesz się jak skończony idiota, Piran! - powiedziała impulsywnie.

- Tak uważasz? - Rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

- Tak uważam - odparła posepnym tonem. - Chodźmy już.
- Wyciągnęła do niego rękę.

- Nie potrzebuję pomocy - odparł z nachmurzoną miną.

- W takim razie zostań tu na zawsze. Nic mnie to nie obchodzi. Odchodzę.

- Carly!

Gdy się obejrzała, popatrzył na nią ze złością, ale wyciągnął rękę.

Pomogła mu wstać i natychmiast odsunęła się od niego. Do licha, znów to samo! Za każdym razem, gdy dotykała Pirana St Justa, przeszywał ją prąd.

Szła obok niego, krok w krok, obserwując go kątem oka. Chwiejnie stawiał nogi, jakby za chwilę miał się przewrócić.

- Nic mi nie jest - powiedział, gdy dotarli do werandy. - Nie bój się, nie zamierzam przy tobie wyzionąć ducha.

- Co za ulga! - Poczekała, aż wspiał się po kilku schodkach, po czym podniosła torbę i pośpieszyła za nim.

Przy samych drzwiach zatrzymał się i gwałtownie odwrócił.

- Będę z tobą pracować, ale na tym koniec - powiedział stanowczo. - Nie zatrzymasz się w moim domu. Możesz zamieszkać w miasteczku.

- Des powiedział... - zająknęła się, zdumiona i wstrząśnięta.

- Do diabła z Desem!

- Skoro chcesz, żebym zatrzymała się w miasteczku, jestem doprawdy zachwycona. Ale będziesz musiał za mnie zapłacić. Nie otrzymałam środków na pokrycie nieprzewidzianych wydatków! - Była tak wściekła, że nic ją nie obchodziło, co sobie Piran pomyśli. Jak widać, nadal uważał ją za panienkę polującą na jego majątek. Nic się nie zmieniło.

Piran bez słowa wyciągnął z kieszeni portfel; wyjął kilka banknotów i wręczył jej.

- Możesz wziąć rower - powiedział. - Stoi za rogiem domu. Torbę na razie zostaw. Gdy coś znajdziesz, przyślesz po nią Bena. - Odwrócił się i zapewne wszedłby do środka, zamykając jej drzwi przed nosem, gdyby natychmiast nie zaprotestowała.

- Nie... - wyjąkała. - Nie teraz. Jest mi gorąco i padam ze zmęczenia po całodziennym podróży. O ile pamiętam, twój ojciec zawsze twierdził, że wasza rodzina słynie z gościnności. Chciałabym napić się wody.

Na wspomnienie o ojcu Piran odwrócił się gwałtownie i posłał jej twarde spojrzenie.

- No, dobrze, wejdź - powiedział stłumionym głosem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zaproszenie nie zabrzmiało zachęcająco, ale Carly - zmęczona, spocona i wściekła - nie zamierzała przejmować się tonem głosu Pirana.

Mimo upływu lat dom w ogóle się nie zmienił. Biel ścian i terakotowa podłoga przydawały wnętrzu chłodu, zaś jasna wyplatana sofa oraz fotele wyściełane jaskrawymi poduszkami zachęcały, by na nich spocząć. Przez lekko uchylone żaluzje przezierało popołudniowe słońce, a wiatrak nad głowami leniwie obracał się, chłodząc wnętrze.

To był jedyny dom - a Carly mieszkała w wielu miejscach - za którym naprawdę tęskniła. Zawsze chciała tu wrócić, żeby sprawdzić, czy zachował swój magiczny urok. Teraz przekonała się, że tak było.

- Pamiętam, gdzie jest kuchnia - powiedziała. - Należę sobie szklanek wody, a ty odpocznij... - Piran nadal wyglądał źle.

- Odpocznę po twoim wyjściu - skwitował, kierując się do kuchni. - Może wolisz mrożoną herbatę? - rzucił przez ramię, a Carly przemknęło przez głowę, że powiedział to tylko dlatego, żeby podtrzymać opinię o gościnności St Justów.

Po chwili wrócił z dwiema szklankami napoju i zaprosił Carly na taras z tyłu domu. Rozciągał się stąd widok na długą plażę o różowym piasku. Gdy Carly zobaczyła ją po raz pierwszy, nie mogła uwierzyć, że jest prawdziwa. Pomyślała wtedy, że Arthur St Just specjalnie zabarwił piasek...

Des śmiał się z jej głupoty, Arthur jednak spokojnie wytłumaczył, że ten piasek to nic innego jak ścierane przez wieki różowe koralowce.

Jeszcze tego samego dnia zabrał ich na plażę, gdzie wspólnie wybudowali zamek z piasku. Tylko Piran stał z boku, przyglądał im się pogardliwie i nic nie mówił.

Teraz też stał w milczeniu, oparty o balustradę, ze szklanką herbaty w ręce. Patrzył daleko przed siebie na bezmiar piasku i wody.

Skorzystała z okazji, by dyskretnie się mu przyjrzeć. Gdy widziała go po raz ostatni, miał dwadzieścia pięć lat, był smukły, niezwykle przystojny - rzecz można - w rozkwicie młodości. Podczas roku akademickiego przygotowywał, na Harvardzie rozprawę doktorską z archeologii, w czasie wakacji zaś nurkował w towarzystwie swego sławnego ojca oraz asystował pięknym kobietom w modnych nocnych klubach i na hulaszczych przyjęciach.

Carly była przekonana, że spełnił pokładane w nim nadzieje. Zrobił doktorat. W wieku trzydziestu czterech lat był światowej sławy ekspertem w dziedzinie archeologii podwodnej. Razem z Desem napisał trzy książki opowiadające o ich rodzinnych wyprawach na dno mórz.

A może Des je napisał? - przemknęło jej przez myśl. Tak czy inaczej, to Piran udzielał telewizyjnych wywiadów. I to Piran, otoczony wianuszkami kobiet, roztaczał swój nieodparty czar i wdzięk.

Nie była pierwszą kobietą, którą zauroczył. Z pewnością nie była również ostatnią.

Piran St Just, gdziekolwiek się pojawiał, wzbudzał powszechne zainteresowanie. Był teraz co prawda starszy, ale nadal prezentował się świetnie. Siateczka zmarszczek wokół oczu podkreślała tylko ich ciemnoniebieski kolor, a mocno zarysowane kości policzkowe i szczeka oraz bruzdy wokół ust nadawały twarzy surowy, męski wyraz. Skórę miał z natury śniadą, ogorzałą, a jej dzisiejsza bladość była niewątpliwie rezultatem choroby.

Szkoda, że nie miał brzuszka ani opadających ramion, westchnęła z goryczą. Był zbyt pociągający, by mogła o nim szybko zapomnieć...

Łatwo mogła dostrzec, że brzuch Pirana pod cienką bawełnianą koszulką był twardy jak skała, a jeśli ramiona miał teraz pochylone, to tylko dlatego, że patrząc na morze, opierał się na łokciach o balustradę. Niewątpliwie czas obchodził się z nim łaskawie... Do diabła z nim!

Wypiła kolejny łyk mrożonej herbaty.

- Skończyłaś? - spytał Piran, odwracając głowę.

- Jeszcze nie. - Spojrzała nań poprzez nadal pełną szklankę. - Nie musisz mnie zabawiać. W niczym sobie nie przeszkadzaj. Wypiję herbatę i pójdę.

- W porządku - powiedział po krótkim wahaniu. - Jutro o dziewiątej przejrzymy materiał. - Dopił herbatę, zaniósł szklankę do kuchni, a potem zniknął za drzwiami jednego z pokoiów.

Carly odetchnęła swobodniej. Czyżby nadal była skrepowana w jego obecności? A może to miejsce tak dziwnie na nią oddziaływało... ? Do licha, przecież już dawno pogrzebała marzenia o stworzeniu w Blue Moon własnego, domu i o odwzajemnionej miłości do Pirana St Justa. Jakże była głupia i naiwna...

Gdy skończyła herbatę, wyszła przed dom. Bez trudu znalazła rower i wolno pojechała w stronę miasteczka.

Piran leżał na łóżku i w napięciu nasłuchiwał. Dopiero gdy zanikający odgłos rozklekotanego roweru upewnił go, że odjechała, rozluźnił się i zaczął oddychać swobodniej.

Ale nadal nie mógł uwierzyć, że przewrotny los po raz drugi w życiu zetknął go z Carly O'Reilly. O Boże, co też Desowi przyszło do głowy! O czym myślał? Czy on w ogóle myślał? Elegancki, zdolny, inteligentny Des jakimś cudem nigdy nie zauważał rzeczy, które miał dokładnie przed nosem! Jakże mógł nie zauważyć, że Piran nienawidził Carly O'Reilly i że... bardzo jej kiedyś pożądał.

Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Wtedy na plaży w Santa Barbara zobaczył uśmiechniętą nimfę wodną o ciemnych, długich do pasa włosach i smukłych jak u żrebaka nogach. Obserwował ją, jak pływa, a potem wychodzi na plażę i kładzie się na ręczniku. Leżała na brzuchu, spoglądając raz po raz w stronę skały, na której siedział, i schodków prowadzących na górę.

Przyglądał jej się zaintrygowany, dobierając w myślach słowa, jakich użyje, by zawrzeć z nią znajomość. Ale nieoczekiwany zbieg okoliczności sprawił, że nie musiał nic mówić.

Pamiętał wszystko tak, jakby wydarzyło się wczoraj - bójkę z pijanym studentem, uczucie satysfakcji, gdy udało mu się trafić go w szczękę, nieśmiałe szare oczy wpatrzone w niego z pełnym podziwu oddaniem... Przez chwilę był jej bohaterem.

I nadal czuł jedwabistą gładkość jej skóry, gdy objął ją na moment ramieniem. Tę samą miękkość poczuł godzinę temu, gdy wyciągnęła rękę i pomogła mu wstać.

Ale czar przysł od razu, gdy dowiedział się, czyją jest córką.

Miał za złe ojcu, że dał się omotać nowej, głupiutkiej i zachłannej żonie, a teraz poczuł się tak, jakby sam został wyprowadzony w pole. Niewinność i nieśmiałość, które tak go urzekły w dziewczynie, w jednej chwili wydały mu się wyrachowane. Przejrzawszy na oczy, wpadł we wściekłość, ponieważ zrozumiał prawdę, z którą nie zamierzał się pogodzić. To by! czysty, fizyczny pociąg, hormony, seksualna reakcja. .. Dokładnie to samo, co musiał czuć jego biedny, naiwny ojciec do pięknej i próżnej Sue... Poprzysiągł sobie, że nie pozwoli wystrychnąć się na dudka.

Od tamtej pory starał się trzymać od Carly z daleka. Podczas trwającego niecałe dwa lata małżeństwa ojca z jej

matką, spotkali się sześciokrotnie. Ale za każdym razem wydawała mu się bardziej pociągająca i godna pożądania...

Linie jej ciała zaokrągliły się; w oczach czaił się śmiech i obietnica, a pięknie wykrojone usta wyglądały tak, jakby były stworzone tylko do pocałunków.

Ale Piran nie chciał ich całować. Nie był tak słaby jak jego ojciec. Dla niego w kobiecie liczyło się coś więcej niż piękna buzia.

Od dzieciństwa idealizował ojca. Gdy dorastał, pragnął być takim jak on. Nawet podczas rozvodu rodziców stanął po jego stronie. W oczach Pirana Arthur St Just był nieomylnym autorytetem, aż do czasu gdy poznał i po kilku zaledwie tygodniach poślubił piękną tancerkę - Sue O'Reilly Delgano Gower Tremaine...

Mój Boże, nawet nie pamiętał litanii jej poprzednich nazwisk!

Carly raz wymieniła je wszystkie - właściwie wyrecytowała, a jej szare oczy uważnie śledziły najmniejsze poruszenie w jego twarzy. Pamiętał, że zacisnął wówczas zęby. Tak samo jak teraz.

Wprost nie mógł uwierzyć, że jego ojciec poślubił taką kobietę! Tancerkę! Kobietę bez wykształcenia, bez pochodzenia, nie posiadającą niczego... prócz Carly.

Carly, której perlisty śmiech i poważne szare oczy tak bardzo go pociągały, że w końcu, w dniu jej osiemnastych urodzin, nie potrafił się im oprzeć... O Boże, jak wówczas jej pragnął! Ta myśl zawstydziała go po dziś dzień.

Jeszcze chwila i uległby jej czarowi, zapomniał się, zatracił z kretesem. Ale wówczas okazało się, że niczego nie chciała mu ofiarować za darmo. Handlowała miłością - tak samo jak jej matka. Seks za małżeństwo.

Na szczęście nie został dotknięty szaleństwem w takim stopniu jak jego ojciec. Małżeństwo z Carlota O'Reilly w ogóle nie wchodziło w rachubę.

- Ożenić się z tobą? - spytał z kpiącym niedowierzaniem.
- Chyba żartujesz! - I odwrócił się na pięcie, by nie patrzeć na jej twarz, na której malowało się przykre zaskoczenie.

Od tamtej pory nie widział jej ani razu. Nie przyjechał nawet na pogrzeb ojca, by jej znów nie zobaczyć.

Po tym wszystkim wyrzucił ją ze swojej pamięci. Udało ma się nie myśleć o niej przez długie lata. A jednak, gdy ją dziś zobaczył, rozpoznał ją natychmiast

I zapragnął jej tak samo jak wówczas. Bóg nie miał dla niego litości...

- Chcesz powiedzieć, że nie ma wolnych pokoi w gospodzie?! - Piran, stojąc w drzwiach, patrzył na Carly wściekłym wzrokiem. Minione cztery godziny z pewnością nie wpłynęły na poprawę jego nastroju.

- Czyżbym nie mówiła po angielsku? - odpowiedziała pytaniem i opadła na wyplatany fotel stojący na werandzie. - W całym Conch Cay nie ma wolnego pokoju.

- Chyba żartujesz. - Piran przecesał ręką zmierzwiłone włosy. Określenie, że miał niezadowoloną minę byłoby zbyt łagodne. - A w domu Maisie Cash?

- Przyjechali do niej na Boże Narodzenie państwo Potterowie z Phoenix - wyrecytowała z pamięci.

- Jeszcze nie ma świąt.

- Powiedz to państwu Potterom.

- A u Kellych? Oni też wynajmują pokoje.

- Wiem, że ta wyspa żyje z turystyki, Piran. I właśnie dlatego nie ma miejsca w sezonie świątecznym. Byłam w sklepiku spożywczym. Stary Bill dał mi listę kwater. Objechałam wszystkie...

- I co? - wtrącił niecierpliwie.

- Wszystkie były zajęte. Jeśli nie wierzysz, sprawdź sam!
- Podsunęła mu zmiętą kartkę papieru, sama zaś usadowiła się wygodniej w fotelu i przymknęła oczy. - Szukałam tak długo, że omal nie padłam trupem - mruknęła pod nosem.

Piran nerwowym krokiem przemierzał werandę tam i z powrotem. Gdy nagle przystanął, Carly otworzyła jedno oko i napotkała jego wściekłe spojrzenie.

- I wybij sobie z głowy, żebym wróciła na Eleutherę i codziennie tu przyływała - powiedziała zaczepnym tonem.

Zaklął pod nosem i znów zaczął przechadzać się po werandzie.

- Mam rozumieć, że zostajesz tutaj? - burknął ze złością.

- A masz lepszy pomysł?

- Mam. Wracaj do domu!

- Tę kwestię już rozważaliśmy - odparła spokojnie. - O co ci naprawdę chodzi, Piran? Obawiasz się zamachu na swoją cnotę?

- A ty nie obawiasz się odwrotnej sytuacji? - Głos jego był pełen jadu.

- Myślałam, że jesteś przekonany, iż w ogóle cnoty nie posiadam.

- Nie prowokuj mnie, Carloto! - niemal ryknął. - Jeśli chcesz tu zostać, nie prowokuj mnie! I zapamiętaj, w grę wchodzi tylko praca!

- Masz świętą rację - powiedziała, tłumiąc złość. - Byłbyś idiotą, myśląc, że przyjechałam tu z innego powodu.

Skrzyżowali na dłuższą chwilę spojrzenia.

- Dobrze, że się wreszcie rozumiemy - skwitował. - Możesz zająć swoją dawną sypialnię. Pracę zaczniemy jutro rano.

Była trochę zdziwiona, że Piran pamiętał, który pokój wówczas do niej należał. To była mała sypialnia sąsiadująca z kuchnią, której okna wychodziły na podjazd przed domem.

Niebawem Carly zorientowała się, że Piran zajmował teraz dawną małżeńską sypialnię ojca; znajdowała się po drugiej stronie domu i miała wyjście na taras, z którego schodki prowadziły na plażę.

Carly włączyła wiatrak pod sufitem, rozpakowała torbę, po czym rozebrała się i położyła na łóżku. Chciała chwilę odpocząć, by potem o zmierzchu przejść się po plaży, zatopić palce w piasku, zanurzyć stopy w ciepłym morzu... To były jedyne przyjemności, jakie czekały ją na Conch Cay...

Gdy się obudziła, było już zupełnie ciemno. Gdzie była...? Powoli - bardzo powoli wracały wspomnienia. Des. Diana. Książka. Piran. Conch Cay. Piran... Zawsze Piran.

Przewróciła się na drugi bok, usiłując zapomnieć o Piranie i znów zasnąć. Nie była już jednak zmęczona, a próby wyrzucenia z myśli Pirana okazały się bezowocne. Po półgodzinnym przewracaniu się z boku na bok, wstała, włożyła sandały i po cichu wyszła na korytarz.

Światła były wszędzie pogaszone, drzwi do sypialni Pirana zamknięte. Wyśliznęła się z domu na taras, a potem powoli zaczęła schodzić schodkami ku morzu. Oświetlał jej drogę księżyc. Na dole odnalazła wąską ścieżkę, która prowadziła na plażę przez zarośla porastające wzgórze.

Uszła zaledwie kilka metrów, gdy usłyszała w krzakach szelest, a potem jakiś ciemny cień przeciął jej drogę. Stała jak wryta, z niemym okrzykiem na ustach.

Na Conch Cay były węże! Przypomniała sobie o tym zbyt późno. A przecież Des wielokrotnie pokazywał jej charakterystyczne ślady na piasku, podobne do opon roweru...

Na szczęście po kilku sekundach znów zapadła cisza. Carly ośmieliła się ruszyć do przodu. Szła teraz bardzo ostrożnie, zważając na każdy krok. Nawet nie spostrzegła, gdy ścieżka nagle skręciła, otwierając widok na morze. Nie

zauważyła również męskiej postaci wolno wychodzącej z wody.

Kiedy zobaczyła Pirana, było już za późno na odwrót. Właściwie omal nie zderzyła się z jego silnie umięśnioną, nagą klatką piersiową.

- Do diabła! - zaklął siarczyście i chwycił ją mocno za ramię.

- Piran?

- A myślisz, że kto? Potwór z Loch Ness? - Mocniej zacisnął palce na jej ramieniu.

Carly popatrzyła mu w oczy, potem omiotła spojrzeniem jego całkiem nagie ciało... Zmieszana utkwiała wzrok w krzakach. Przyszło jej nagle do głowy, że z dwojga złego chyba wolałaby spotkać węża.

- Co tu, u diabła, robisz? - .spytął gniewnie.

- Wyszłam na spacer...

- W środku nocy?

- Nie mogłam spać... Puść mnie! - Udało jej się w końcu wyrwać z mocnego uścisku jego dłoni. Skrzyżowała ręce na piersiach i stanowczo unikała jego wzroku. - Z pewnością nie szukałam ciebie, jeśli to masz na myśli!

Uśmiechnął się z niedowierzaniem, a może nawet z lekką pogardą.

- Nie powinnaś wychodzić. Jest druga w nocy. To niebezpieczne.

- Ale ty wyszedłeś! - szybko zripostowała.

- Dla mnie nie ma tu niebezpieczeństwa.

- Widzę, że ustaliłeś podwójne zasady, Piran.

Nie ja ustalam zasady, Carloto. Ale mogę ci przedstawić argumenty.

- Nie wątpię! Ale to nie jest fair.

- Nigdzie nie zostało zapisane, że życie obchodzi się z nami fair - powiedział w zamyśleniu.

- Oszczędź mi tych zużytych frazesów.

- Daj już spokój, Carly! - Złapał ją znów za ramię. - Chodźmy!

- Powiedziałam, że idę na spacer! - Usiłowała strząsnąć jego dłoń. Był to z jej strony dziecinny upór, nic więcej. Nie chciała, by ostatnie słowo należało do niego.

Po krótkiej szarpaninie wyrwała się i puściła ścieżką w dół. Ale nim postąpiła pięć kroków, poczuła jego mocną dłoń na ramieniu. Obrócił ją przodem do siebie, chwycił w pasie i zarzucił sobie na ramię.

- Piran! - krzyknęła, kopiąc go nogami po plecach. - Piran, do wszystkich diabłów, puść mnie!

Ale on, na nic nie zważając, szedł pod górę z Carly przerzuconą przez ramię jak worek kartofli.

- Piran! - Zaczęła walić go mocno pięściami w mokrą klatkę piersiową.

Przy kolejnym uderzeniu skulił się i usiłował złapać ją za rękę.

- Przestań! Do diabła, Carly! - Gdy wchodził na taras, potknął się na schodku i obydwójce się przewrócili; Carly wylądowała twarzą na jego udach. Jak oparzona poderwała się na nogi.

- Nie do wiary! - wrzasnęła. - Jaskiniowiec!

Piran wstawał powoli, jakby z trudem, lekko krzywiąc twarz. Zdążyła zauważyć zaognioną bliznę na jego nodze, jak również oznaki wyraźnego męskiego podniecenia,...

- Nic ci nie jest? - spytała.

- A co cię to obchodzi? - Chwycił ręcznik leżący na fotelu i okręcił sobie wokół pasa.

- Właściwie nic. - Przełknęła ślinę, unikając jego wzroku.

- Nie dziwi mnie to.

Przyglądali się sobie dłuższą chwilę w milczeniu. Wzrok Pirana był twardy, na jego twarzy malowała się złość. Carly

wiedziała doskonale, że podniecenie, które odczuwał, było mimowolne. Cóż w tym nowego! Dziewięć lat temu też jej pragnął i właśnie za to ją znienawidził.

Gdy zerknęła nań ponownie, zauważyła, że drga mu mały mięsień na szczęce. Wyglądał bardzo blado, jakoś mizernie... Ogarnęło ją przelotne poczucie winy, ale natychmiast je od siebie odsunęła. Nie musiał jej nosić! W ogóle nie powinien się o nią troszczyć!

Powiedziała mu to.

- Widocznie mam już taką rycerską naturę - wycedził. Dobrze pamiętała, że naprawdę potrafił być rycerski. To słodkie wspomnienie dokuczało jej bardziej niż wszystkie bolesne wspomnienia razem wzięte.

- Nie musiałeś się trudzić - powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy.

- Zapamiętam. - Przesunął lekko językiem po ustach. - Wracaj więc na Cen cholerny spacer, jeśli chcesz. I utop się, jeśli masz ochotę. Nic mnie to nie obchodzi. Doprawdy, nie wiem, co we mnie wstąpiło, że w ogóle zareagowałem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Carly spała źle. Świtało już, gdy nadal przewracała się i wierciła w łóżku, mając przed oczami obraz nagiego ciała Pirana i czując jego dotyk. Gdy wreszcie zdrzemnęła się, sny jej były równie męczące i niespokojne.

Wróciło jak żywe wspomnienie osiemnastych urodzin - gdy po raz ostatni Piran St Just trzymał ją w swoich ramionach - i kiedy dowiedziała się, co naprawdę o niej myślał...

Przez minione lata usiłowała wymazać to wspomnienie z pamięci... i prawie jej się udało. Teraz jednak nie miała wyboru - musiała sobie przypomnieć, choćby tylko po to, by po raz wtóry nie ulec złudzeniom.

Zakochała się w Piranie od pierwszej chwili, niemal w momencie gdy go poznała.

Mieszkała wówczas z matką i Arthurem w uroczym, parterowym domu, zbudowanym w stylu hiszpańskim na wzgórzach okalających Santa Barbara.

Dom otoczony był na wpół dzikim, bujnym ogrodem i znakomicie wtapiał się w miejscowy krajobraz. Carly uwielbiała spacerować po ogrodzie, a nocą często przesiadywała na ławeczce pod bugenwillą, napawając się widokiem świateł miasta i portu. Za każdym razem marzyła, że Piran usiądzie kiedyś obok niej, obejmie ją ramieniem i pocałuje.

Nigdy nie przestała o tym marzyć... Być może była głupia - a właściwie - z pewnością była głupia. Ale cechował ją wówczas ten sam optymizm i romantyzm, który jej matce kazał niestrudzenie szukać miłości.

Piran ją fascynował. W chłodzie, milczeniu, niechęci, jakie stale jej okazywał, wyczuwała coś jeszcze... Coś, czego z początku nie potrafiła zdefiniować. Zdawała sobie sprawę, że ją obserwuje, że śledzi każdy jej krok.

Choć daleko jej było do instynktu dojrzałej kobiety, potrafiła poznać, że mężczyzna się nią interesuje. A spojrzenia, którymi obdarzał ją Piran, stanowiły nieomylny znak. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Santa Barbara, do Nowego Jorku czy do Blue Moon - wpatrywał się w nią tak zachłannymi oczami, że czuła się sprowokowana, a zarazem onieśmielona.

Carly obserwowała go również - z wiecznym niedosytem, usiłując przeniknąć jego myśli. Pewna była jednak, że od pierwszej chwili zrodziło się między nimi bardzo subtelne, ale jak najbardziej realne uczucie. Przynajmniej takie było jej zdanie. I miała nadzieję, że również Piran o tym wie.

Gdy pojawił się w domu na Święto Dziękczynienia, obserwował ją tak samo czujnie jak zawsze. Przy obiedzie przyłapała go, jak przyglądał się jej kątem oka. W piątek Arthur zabrał ich do ogrodu botanicznego. Tam również Piran nie spuszczał z niej wzroku.

Rano w niedzielę, przed swym odlotem do Bostonu, nawet poszedł z nią na spacer po plaży. Nie odezwał się ani słowem. Po prostu szli obok siebie. Carly od czasu do czasu zdobywała się na jakąś uwagę, którą on zbywał monosylabami.

On mnie kocha! - śpiewało jej serce. I tę słodką melodię słyszała jeszcze wiele razy po wyjeździe Pirana.

Przepełniona radością i nadzieją wyczekiwała świąt Bożego Narodzenia, które razem z Piranem mieli spędzić na Conch Cay.

Obserwowała go wówczas bardzo uważnie. Tym razem minęło sporo czasu, nim przekonała się, że nadal jest nią zainteresowany.

Kolejne ukradkowe spojrzenia, kolejne pełne napięcia spotkania. Kolejny spacer - tym razem po innej plaży...

To był dość chłodny, wietrzny dzień. Piran szedł miarowym krokiem, z rękami w kieszeniach, prawie na nią nie

patrzac. Ale byli dojmujaco swiadomi swej obecnoSci. Gdy jeden jedyny raz rekawem marynarki musnal jej ramie, gwałtownie wciagnal powietrze i rownie szybko sie odsunal.

Po drodze podnosila muszle i pytala o ich nazwy. Znal wszystkie. Wreszcie udalo sie jej sklonic go do rozmowy - najpierw na temat armat na przyladku, potem o jego studiach archeologicznych.

Sluchala zafascynowana; lowila kazde jego slowo; a w duchu marzyla, ze kiedyS pojedzie z nim na wykopaliska albo podwodna wyprawe. Ale nie osmielila sie o tym wspomniec. Jeszcze nie teraz.

W powrotnej drodze Piran podniost z piasku przezroczystry, czerwony kamyk. Nigdy przedtem czegoS podobnego nie widziala. Wyjasnil, ze to kawalek szkla wygladzony przez fale.

- Mozesz go zatrzymac, jezeli chcesz - powiedzial.

Oczywiscie, ze chciala. Wlozyla szkiełko do kieszeni razem z muszlami, ktore zebrała, i przez cala droge do domu pieScila je w dloni. A potem za kazdym razem, gdy na nie patrzyla, przypominala sobie tamten spacer.

Po jego wyjezdzie obmyslila co najmniej sto scenariuszy wspolnej, szczesciwej przyszłosci. Kazdy z nich zaczynal sie od sceny, kiedy Piran po przyjezdzie do domu zauwaza wreszcie, ze Carly stala sie kobieta. Przestaje traktowac ja z chlodna nonszalancja czy tez lekka pogarda - co niemal weszlo mu w nawyk - i zaczyna ja adorowac.

Carly tak bardzo pragnela, by sie w niej zakochal, ze w koncu uwierzyla w szczesciwe zakonczenie. To stanie sie w moje osiemnaste urodziny, pomyslala.

Przyjechal dokladnie na Wielkanoc. Powitala go razem z Desem na lotnisku. Odniosla wrazenie, ze na jej widok w oczach Pirana pojawil sie blysk radoSci. Ale to bylo tylko zludzenie. Podszedl, przywital sie z bratem, a jej nawet nie

podał ręki! Popatrzył tylko na nią jakimś dziwnym, zdesperowanym wzrokiem.

Od chwili przyjazdu nie oderwał od niej oczu; gdziekolwiek się ruszyła, wszędzie wodził za nią wzrokiem.

Wieczorem, w dniu swoich urodzin, ledwie zjadła kolację - tak bardzo była świadoma obecności tego zamyślonego mężczyzny, który siedział dokładnie na wprost niej. Arthur i matka usiłowali wciągnąć ją do rozmowy, dowiedzieć się czegoś o studiach, które rozpoczynała na jesieni, ale Carly odpowiadała monosylabami.

Des żartował, opowiadając o kręcących się wokół niej chłopcach, a zwłaszcza o jednym, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć. Carly z zarumienionymi policzkami zaprzeczyła tym rewelacjom i szybko posłała Piranowi wymowne spojrzenie i zachęcający uśmiech. Musiał wiedzieć, że myślała tylko o nim!

Podczas kolacji Piran nie odezwał się ani słowem. Ale za każdym razem, gdy podnosiła oczy, napotykała jego czujny, płonący wzrok. I każde spojrzenie wydawało jej się gorętsze niż poprzednie...

Zaraz po rozpakowaniu prezentów, umknęła do swego pokoju, wymawiając się zmęczeniem po ekscytującym dniu. Ale wcale nie poszła spać. Warowała przy uchylonych drzwiach i czekała, aż zauważy Pirana wychodzącego na wieczorny spacer.

Na moment zatrzymał się na ścieżce; spłowiłe dzinsy opinały mu muskularne nogi, pod bawełnianą koszulką rysowały się mocne ramiona. Patrzył przed siebie na migające światła wieczornego miasta. Nagle odwrócił się, charakterystycznym gestem przeczesał ręką włosy i spojrzał na pograżony w mroku dom - w to miejsce, gdzie ukrywała się Carly. Potem popatrzył w zamyśleniu prosto w ciemne okno jej pokoju.

Carly obserwowała go z walącym sercem. Wiedziała, że nie mógł jej widzieć, ale...

Przyjdź do mnie! - krzyczała w duchu.

Jakby odgadując jej pragnienia, zrobił niepewny krok w stronę domu, ale po kilku sekundach zacisnął dłonie w pięści, odwrócił się i odszedł ścieżką w dół.

Carly, choć głęboko rozczarowana, tłumaczyła sobie, że z pewnością nie chciał spotkać się z nią w domu, w obecności innych... A może nie był pewien, czy odwzajemnia jego uczucia? Jakże mógł mieć wątpliwości!

Odczekała kilka chwil, aż sylwetka Pirana zniknęła za drzewami, po czym wymknęła się z domu i z walącym sercem pośpieszyła jego śladem.

Za domem znajdował się mały mostek przerzucony nad parowem; po zimowych deszczach płynął tamtędy strumyk, ale tej wiosny, mimo że była dopiero połowa kwietnia, koryto parowu było suche.

Piran stał na mostku z dłońmi opartymi o barierkę i w skupieniu patrzył w dół na wyschnięte koryto strumienia. Carly wahała się tylko chwilę. Ostatecznie, czego się miała obawiać? Kochała go, Wiedziała, że on ją kocha. Nie dalej jak pół godziny temu widziała niemą tęsknotę i głód w jego oczach. Widziała przecież, że zrobił krok w stronę domu, na pewno chciał się z nią zobaczyć...

- Carly? - Odwrócił się i otworzył szeroko oczy, gdy nieoczekiwanie doń podeszła.

Uśmiechnęła się lekko, z drżeniem w sercu, marząc o tym, by po prostu wyciągnął ku niej ramiona. Ileż to razy właśnie tak wyobrażała sobie tę scenę...

- Co tutaj robisz? - spytał ostrym tonem.

- Przyszłam za tobą - odpowiedziała szczerze.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz, dlaczego - szepnęła, postępując krok naprzód. Był od niej wyższy zaledwie o kilkanaście centymetrów; jej oczy znajdowały się na poziomie jego ust. - Tęskniłam za tobą, gdy wyjechałeś - dodała lekko speszona.

- Doprawdy? - Włożył ręce do kieszeni dżinsów, zacisnął usta, a jego twarz wykrzywił jakiś dziwny grymas. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego.

- Nie rozumiesz? - Napięcie przenikało całe jej ciało, paraliżowało każdy mięsień.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Do diabła, Carly, o co ci chodzi?

- Próbuję dostać od ciebie swój urodzinowy pocałunek - wyznała szczerze. Spojrzała mu prosto w oczy i zachęcająco rozchyliła usta. Och, z pewnością by tego nie powiedziała, gdyby nie był to dzień jej urodzin i gdyby od tak dawna nie marzyła o tym pocałunku! A poza tym wierzyła, że Piran kochał ją tak samo gorąco jak ona kochała jego.

- Na litość boską, Carly! - zawołał poruszony.

- Twój ojciec mnie pocałował... - mówiła, patrząc bezradnie. - Nawet Des. Tylko nie ty.

- Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz?

Przytaknęła z namaszczaniem. Oczywiście, że wiedziała. Marzyła o tym od wielu miesięcy...

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę w napięciu; potem wyjął ręce z kieszeni, gwałtownie przyciągnął ją do siebie i przywarł ustami do jej warg.

Cóż, Carly nie była całkowicie niewinna... A może była? W każdym razie całowała się z chłopcami. Pocałował ją przecież Des, całowała się z tym chłopcem, z którego Des żartował i jeszcze z kilku innymi o spoconych dłoniach i pryszczatych twarzach, którzy dziobali jej wargi jak koguty kukurydzę.

Nigdy w życiu jednak nie była całowana w ten sposób. Niczyje pocałunki nie doprowadzały jej do takiego stanu, że drżała i wirowało jej w głowie. Piran rozchylił jej usta i wdarł się w nie z zachłanną natarczywością. Wydawało się, że był bardziej zły niż podniecony, że pragnął ją brutalnie ukarać.

Ale Carly - zrazu zdziwiona i przerażona jego władczą siłą - wahała się tylko przez moment; przytuliła się do niego mocno i, nim do końca zdała sobie sprawę z tego, co robi - zaczęła z równą żarliwością oddawać pocałunki.

Ich usta i dłonie, ich języki i ciała zwały się ze sobą w jakiejś szalonej konwulsji. Czuła nogę Pirana pomiędzy swoimi udami, miękki dzins ocierający się o nagą skórę poniżej krótkich szortów. Przyciskał ją coraz mocniej, twarde mięśnie jego ud gniotły jej ciało - wiła się, jęczała i dygotała jak w febrze, czując obezwładniające szalone podniecenie.

To zaszło o wiele za daleko, myślała gorączkowo, czując dłonie Pirana na swoich biodrach. O wiele dalej niż z innymi chłopcami...

Ale uświadomiła sobie, że Piran nie był chłopcem. Był prawdziwym mężczyzną. I miał potrzeby mężczyzny.

Tamtego wieczoru Carly odkryła również swoje własne kobiece potrzeby. Pragnęła Pirana każdą cząsteczką swego ciała, tak samo jak on zdawał się pragnąć jej. I, mimo braku doświadczenia, wiedziała co robić.

Wiedziała, jak wyciągnąć mu koszulę ze spodni, jak rozłożyć dłonie na rozgrzanej skórze jego pleców; wiedziała, jak poruszać wargami w pocałunku, potrafiła zataczać małe kółka na jego wrażliwych sutkach - a potem zrećźnie uwolnić się z jego objęć, by szybko zdjąć bluzkę przez głowę.

- O Boże, Carly!

- Tak - zdołała wyszeptać, - Och, tak... - Zadrżała ni to z zimna, ni z rozkoszy, gdy chroniąc się przed chłodnym wieczornym powiewem przywarła mocniej do gorącej, nagiej

skóry. Ale chłód nie był na tyle przenikliwy, by ostudzić jej rozgrzaną krew.

Piran westchnął głęboko, a potem jego dłonie znów powędrowały w dół jej ciała. Rozpiął pasek od szortów, potem suwak... Carly niemal straciła oddech, czując miękkie, intymne dotyk jego dłoni na swej delikatnej skórze. Zadrżała, jęknęła i przywarła mocniej do tych władczych, badawczych palców.

Nigdy dotąd nie widziała podnieconego mężczyzny. W szkole na lekcjach wychowania seksualnego chichotała i szeptała o tym z koleżankami, próbując wyobrazić sobie zmiany, jakie wywołuje w mężczyźnie podniecenie. Czasami zastanawiała się, jak zareaguje... Zdziwieniem? Strachem?

Teraz już wiedziała. Nie czuła wcale strachu przepelniona pragnieniem dotykania Pirana tak samo intymnie, jak on jej dotykał. Gdy zaczęła rozpinąć guziki jego dżinsów, usiłował ją powstrzymać, ale nie ustąpiła.

- O Boże, Carly! - wydał z siebie zduszony jęk.

- Sprawiam ci ból... ?

- Och, nie... Tak! Zabijasz mnie! O Boże, nie mogę... nie... Przestań! - Cały drżąc, przywarł do niej i ukrył twarz na jej ramieniu.

- Piran...? Co się stało?

- Nic. - Wydobył głos gdzieś z głębi piersi. Oddychał nierówno. Ciałem jego wstrząsały dreszcze. - Och, Boże! Przepraszam... Och, do licha! - wymamrotał pod nosem.

Na myśl o tym, co się stało, poczuła, że policzki jej płoną. Ale przemogła wstyd ogarnięta nagłą falą czułości. .

- Mogę poczekać - powiedziała cicho, lekko się uśmiechając.

- Będziesz musiała - odparł dość oschle. - Nie mogę uwierzyć... Nigdy dotąd nic takiego mi się nie przytrafiło.

- Wcale mi to nie przeszkadza - zapewniła go żarliwie, kładąc głowę na jego piersi. - Właściwie nawet się cieszę.

- Cieszysz się? - Odsunął ją od siebie i spojrzał na nią uważnie.

Uniosła głowę i przytaknęła, patrząc mu prosto w oczy.

- Poczekamy z tym do ślubu - powiedziała. Raptownie chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Co masz na myśli, mówiąc o ślubie?

- Możemy poczekać aż do ślubu - powtórzyła, patrząc mu w oczy, które nagle wydały jej się większe i ciemniejsze niż zazwyczaj.

- Ślub? - Omal nie zakrztusił się tym słowem.

Carly po raz pierwszy usłyszała w głowie ostrzegawczy dzwonek; po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

- Czy to oznacza, że nie chcesz... - wyjąkała zdjeta zdumieniem i strachem, ale zaraz urwała, ponieważ wyraz twarzy Pirana wystarczył za odpowiedź.

- Nigdy nie wspominałem o małżeństwie - powiedział, rozwiewając jej wszelkie złudzenia.

- Tak, ale...

- Miałbym się z tobą ożenić? - zadrwił bezlitośnie. - Chyba żartujesz!

Przez chwilę nie mogła pojąć tych słów. Spoglądając na Pirana spod opuszczonych rzęs i pospiesznie zapinając szorty, odnosiła wrażenie, jakby na jej oczach przemieniał się w potwora.

- Ale przecież... - zaczęła i urwała zmieszana.

- ...mamy na siebie ochotę - dokończył. - To wszystko. - Ale...

- Nie jestem naiwny, Carloto - powiedział. - Nie dam się ogłupić, tak jak mój ojciec, jakiejś zuchwałej panience.

Nim Carly uświadomiła sobie, co miał na myśli, minęła dłuższa chwila.

- Myślisz, że ja... - Brakowało jej słów. - Myślisz, że moja matka...

- Chyba nie ulega wątpliwości, że twoja szanowna mamusia usidliła mojego starego! - wybuchnął. - No, proszę, udowodnij, że tak nie jest!

Carly nie odezwała się ani słowem. Nie mogła mu odpowiedzieć. Mimo że chciałyby zaprzeczyć, nie potrafiła.

Sue rzeczywiście zagięła parol na Arthura. Wystarczyło jedno spojrzenie na wysokiego, przystojnego profesora archeologii i już się w nim zakochała - a przynajmniej myślała, że tak było... Sue wcale nie skrywała swych uczuć. Carly o tym wiedziała. Arthur też.

Arthur zakochał się w niej również. Na pozór wyglądali na bardzo dziwną parę, ale ich małżeństwo było udane. Wbrew temu, co Piran myślał, Sue nie polowała na pieniądze Arthura. Nigdy nie zależało jej na pieniądzach... Chodziło jej o miłość.

Ale Piran tego nie rozumiał. Carly zdała sobie sprawę, że Piran w ogóle nie rozumiał miłości...

Patrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. I nadal nic nie mówiła.

- Właśnie tak myślałem - odezwał się wreszcie. - Nie możesz przedstawić żadnych argumentów.

Zapiął spodnie i wsunął w nie koszulę. Potem podniósł z ziemi bluzkę Carly i podał jej.

Gdy przyciskając bluzkę do piersi patrzyła na Pirana, wiedziała już, że jej marzenia rozsypały się w proch.

- Niczego nie rozumiesz - powiedziała ze smutkiem, po czym odwróciła się i odeszła.

Gdy Carly otworzyła oczy, słońce stało już wysoko na niebie. Westchnęła ze zniecierpliwieniem, zdając sobie sprawę, że gdy pojawi się w salonie, Piran będzie narzekać, że spóźniła się do pracy. No cóż, trudno.

Przez pół nocy przewracała się z boku na bok, przypominając sobie każdy szczegół intymnej sceny z Piranem sprzed lat. W gruncie rzeczy, mimo że wspomnienia

sprawiwały jej ból, cieszyła się, że nadal żywe były w jej pamięci. I nigdy nie powinna zapomnieć tamtego upokorzenia... Tylko w ten sposób mogła uniknąć ryzyka ponownego zainteresowania się Piranem.

Gdy pojawiła się w salonie, Piran siedział już przed ekranem komputera.

- Miło, że się przyłączasz - powitał ją cierpko.

- Przepraszam - usiłowała się usprawiedliwić. - To z powodu zmęczenia podróżą.

- Przecież nie ma tu zmiany czasu - wtrącił, nie odrywając wzroku od klawiatury.

- W takim razie być może wczorajsze nocne harce nie wpłynęły dobrze na mój organizm - powiedziała.

- Sądziłem, że jesteś do tego przyzwyczajona. - Ta niegrzeczna uwaga wyrwała mu się jakby mimochodem. Gdy zaskoczona Carly spojrzała mu w twarz, dostrzegła w niej cień zmieszania. - W każdym razie, jeśli przyjechałaś tu do pracy - dodał pojednawczo - zrób sobie filiżankę kawy i zaczynajmy.

Carly lekko zirytowana poszła do kuchni. Gdy pojawiła się znów, Piran po prostu wręczył jej przygotowany materiał, zaznaczył fragmenty, które czekały na redakcję Desa... i wrócił do swojej pracy.

Carly zaczęła czytać pierwszy rozdział. Była to fascynująca opowieść o poszukiwaniu przez Arthura St Justa zaginionej, legendarnej karaweli. Mimo przeszkód stwarzanych przez siły natury, rządy kilku państw i świat wielkiego biznesu, poszukiwania zakończyły się triumfem.

Carly, czytając, podziwiała w duchu Arthura i jego dwóch synów, którzy towarzyszyli mu w podwodnych ekspedycjach. Gdy nagle podniosła wzrok, okazało się, że patrzy na jednego z nich. Piran nadal siedział przed komputerem i ze skupionym wyrazem twarzy stukał w klawisze.

Na przekór zdrowemu rozsądkowi i koszmarnym wspomnieniom, które dręczyły ją w nocy, musiała przyznać, że Piran St Just jest nadal bardzo przystojnym mężczyzną. I nadal czuje do niego perwersyjny, żywiołowy pociąg...

Do diabła!

Po raz pierwszy widziała go w okularach; nie wyglądał w nich ani poważnie, ani ponuro - przydawały natomiast jego przystojnej twarzy intelektualnego wyrazu.

Do diabła!

- Co ty robisz? - odezwał się nieoczekiwanie. - Przestań bezmyślnie przekładać kartki! Dołożyłem już następny materiał, który trzeba tam umieścić. Jest mnóstwo roboty. Pospiesz się! - Rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie. - Nie sądzę, by Bixby Grissom płaciło ci za spanie do południa i wałkowanie się po południu.

Była zadowolona, że się odezwał. W przeciwnym razie groziło jej niebezpieczeństwo, że znów go polubi. Wyciągnęła rękę.

- Daj mi to - poprosiła.

Z nowym plikiem kartek w ręce przeniosła się na fotel w drugim końcu pokoju i znów pogrążyła się w lekturze. Ale po chwili oderwała wzrok od, jak się okazało, bezładnych notatek.

- Co to jest? - spytała zaskoczona. - To w niczym nie przypomina poprzedniego rozdziału.

- Przeczytałaś ukończony fragment. Des zredagował go w sierpniu. A teraz dałem ci tekst, nad którym masz sama pracować.

Carly bezradnie spojrzała na kartki trzymane w dłoniach. Usiłowała wrócić do lektury, ale irytacja jej rosła z każdym przeczytanym słowem.

- Oczekujesz, że w niespełna miesiąc wyczaruję książkę z tych śmieci?! - odezwała się w końcu oburzona. Nie była to

taktowna opinia; całkiem wypadła z roli redaktora. Ale w głębi duszy narastało w niej przerażenie.

- To miało być zadanie Desa - odpowiedział z kamienną twarzą.

Des musiałby dokonać jakiegoś cholernego cudu, myślała rozzłoszczona. Piran podawał tylko suche fakty, strona literacka go nie interesowała.

Wyglądało na to, że lekki, emocjonujący styl, tak charakterystyczny dla książek braci St Justów, był całkowicie zasługą Desa.

Och, z przyjemnością skrzyłaby Desowi kark!

- Nie mogę uwierzyć, że zrobił mi coś takiego - mruknęła pod nosem.

- Ani ja - zgodził się skwapliwie Piran.

Gdy na moment skrzyżowali spojrzenia, oczy ich wyrażały niechęć i nieufność, ale także słaby, przelotny cień wzajemnego współczucia.

Piran poruszył się nerwowo, przybrał poprzednią ponurą minę i zaczął wyglądać przez okno. Carly patrzyła na niego z urazą. Nagle założył ręce za głowę, tak że koszula wysunęła mu się ze spodni, i oczom jej ukazał się pas twardego, opalonego ciała. Choć było to znacznie mniej, niż widziała wczorajszej nocy - zażenowana, szybko opuściła wzrok.

- Nie damy rady, prawda? - odezwał się po chwili, opuszczając dłonie na uda i poruszając się niespokojnie na krześle. - Za dużo pracy... - Westchnął i spojrzał na nią. - Wracaj do Nowego Jorku i powiedz Dianie, że nie dasz sobie rady. Zwrócę zaliczkę i na tym koniec.

Carly przez dłuższą chwilę rozważała tę propozycję.

- To byłoby najlepsze rozwiązanie - powiedziała w końcu.
- Ale nie mogę tego zrobić.

- Chodzi ci o twoją pracę, tak? Jeśli w grę wchodzi pieniądze, Carloto...

- Pieniądze nie stanowią problemu, Piran - odparła z niemałą satysfakcją. Choć nie zarabiała takich kroci jak on, utrzymywała się na powierzchni i płaciła rachunki. - Przemawia przede mną profesjonalistka. I dumna jestem ze swojej pracy... Podjęłam się zadania, więc dotrzymam słowa.

Piran zmarszczył brwi i przeciągnął ręką po włosach.

- Jak zamierzasz tego dokonać? Najwyraźniej nie jesteś zachwycona stanem mojej pracy.

- Masz rację - przyznała. - Właściwie jestem przerażona. Ale muszę sobie z tym poradzić. Mam pierwszy rozdział napisany przez Desa, na którym mogę się oprzeć. Potrafię dopasować się do jego stylu.

- Potrafisz?

Wytrzymała jego twarde spojrzenie.

- Potrafię - powiedziała z lekkim wyzwaniem. - Rozumiem, że dostarczysz mi fakty, na podstawie których napiszę książkę.

Twarz Pirana wyrażała powątpiewanie, ale nie oponował.

- Czy to wszystko, co masz? - podjęła po chwili. - Nie masz bardziej szczegółowego konspektu?

Piran przeszukał stos papierów na biurku i wyciągnął kilka pomiętych kartek.

- Proszę - powiedział. - Przygotowaliśmy go wspólnie z Desem, gdy był tu w sierpniu... Właściwie był tu wówczas po raz ostatni.

Carly sięgnęła po kartki i znów opadła na krzesło.

- Zabierzmy się zatem do dzieła.

Wkrótce ustalili harmonogram pracy. Carly zorientowała się, że prócz części przygodowej książka miała opisywać życie na hiszpańskim galeonie, który zatonął podczas sztormu u wybrzeży jednej z małych wysepek archipelagu Bahamy ponad trzysta pięćdziesiąt lat temu.

Ten właśnie statek Arthur St Just odnalazł na krótko przed śmiercią.

Większość ekspertów nie wierzyła, że Arthur odnajdzie karawelę. Tylko Carly z entuzjazmem właściwym młodości była tego pewna. Rozpaczliwie pragnęła wejść w skład ekspedycji i ogromnie żałowała, że po śmierci Arthura stało się to niemożliwe. Nigdy jednak nie spodziewała się, że przyjdzie jej pisać książkę o tych wydarzeniach.

Gdy zagłębiała się w notatki Pirana, zaczęła odczuwać dawne podniecenie...

Przez całe popołudnie pracowała, porządkując strony, robiąc notatki, sortując papiery na kupki i mruczając do siebie pod nosem.

- Jak idzie? - zagaił Piran, przerywając jej skupienie. Gdy trochę wystraszona podniosła oczy, okazało się, że wcale na nią nie patrzył.

- Myślę, że może nam się udać - odparła.

- Naprawdę? - W kącikach jego ust pojawił się uśmiech.

- Jeśli tylko nie będziesz skakał mi do gardła, gdy zechcę wprowadzić pewne zmiany - dodała.

- Ja? - zdziwił się z miną niewiniątka.

- Tylko mi nie mów, że dostałeś nagrodę za uprzejmość - odparła, wznosząc oczy do nieba.

Piran nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Uśmiech zmienił całą jego twarz, rozświetlił ponure rysy i sprawił, że serce Carly podskoczyło w piersi. Ratunku! - pomyślała. Szybko pochyliła głowę, by nie mógł niczego wyczytać z jej oczu.

- A co z... - podjął, ale przerwała mu ostro:

- Zabierz się do pracy! Jeśli mam wykonać robotę, nie chcę, abyś mi przerywał.

Popatrzył na nią przeciągle, potem wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do komputera.

Carly przerwała pracę tylko raz, gdy usłyszała podjeżdżający samochód, a potem głuchy odgłos na ganku. Spodziewała się usłyszeć pukanie, ale gdy to nie nastąpiło, zerknęła pytająco na Pirana.

- Co to było?

- Poczta. Ben przywozi ją po przybiciu łódki. Oszczędza mi podróży do miasteczka. - Nawet nie miał zamiaru wyjrzeć na ganek.

Carly, by rozprostować nogi i zrobić sobie chwilę przerwy, poszła przynieść pocztę. W małym wyplatany koszyku, stojącym na schodach werandy, znalazła stos Mstów. Były tam jakieś materiały, na które Piran niecierpliwie czekał, dwa czasopisma, które odłożył na bok, niedzielny „New York Times” oraz różowa koperta subtelnie pachnąca perfumami, na której nazwisko Pirana zostało napisane okrągłym, kobiecym pismem.

Piran odrzucił kopertę na bok. Carly wbrew sobie nie mogła poskromić ciekawości. Kim była kobieta, która teraz wzdychała do Pirana? Czyżby naprawdę nie przywiązywał wagi do tego listu? A może po prostu chciał być dyskretny...?

Do licha, co ją to obchodzi! Dziewczyny Pirana nie powinny jej interesować... Wzięła do ręki długopis i wróciła do kreślenia tekstu.

- Tak źle?

Uniosła raptownie głowę i spojrzała zakłopotana na Pirana, zastanawiając się, czy zauważył jej zainteresowanie różową kopertą. Ale jego twarz miała wyraz nieodgadniony.

- Obiecałeś, że nie będziesz się wtrącał - przypomniała mu ostro.

- Masz rację, ale - skrzywił się lekko - maltretujesz ten tekst z jakąś zadziwiającą mściwością.

- Robię tylko konieczne poprawki - uświadomiła go stanowczo.

- Możesz skorzystać z komputera, jeśli chcesz.
- Gdy skończę rozdział, wprowadzę swoje poprawki, będziesz mógł go przeczytać i dodać swoje. Zgoda?

Piran skinął głową i wrócił do pracy.

Co za uprzejma wymiana zdań, pomyślała Carly z lekką ironią. Była jednak podniesiona na duchu. Może jednak ze sobą wytrzymają...

Gdy przelotnie zerknęła w jego stronę, wzrok jej spoczął znów na różowej kopercie leżącej na biurku. Kim była ta kobieta...? Dość, to nie jej sprawa!

Mimo wszystko tajemniczy list zaprzętał jej myśli przez całe popołudnie. Dopiero wieczorem, gdy sprzątała po kolacji dostarczonej przez żonę Bena, zauważyła, że list zniknął.

Piran nie wspomniał o nim ani razu. Właściwie od dłuższego czasu w ogóle się do niej nie odzywał, pogrążony w lekturze jednego z magazynów.

- Nie masz nic przeciw temu? - spytał uprzejmie przy kolacji.

- Ani trochę - zapewniła go Carly, w milczeniu jedząc swoją rybę i usiłując ignorować siedzącego naprzeciw niej mężczyznę. - Dziś wieczór ja pozmywam - zaoferowała się.

- A potem pójdę na spacer.

- Jeśli będziesz tyle spacerować, nigdy nie skończymy - burknął pod nosem.

- Pracowałam przez cały dzień! - obruszyła się impulsywnie. Po powrocie miała zamiar pracować cały wieczór, ale nie chciała, by myślał, że tylko on dyktuje warunki.

- Ja też. Nawet na chwilę nie odpocząłem, mimo zaleceń lekarza.

- W takim razie odpocznij.

Gdy przyjrzała mu się dokładniej, spostrzegła, że wyglądał dość mizernie; siedział jakiś osowiały na krześle i bawił się liściem sałaty na talerzu. Nie zjadł zbyt wiele.

- Bixby Grissom nie będzie miał z ciebie pożytku, jeśli się rozchorujesz - powiedziała ostro.

- Obchodzi cię tylko Bixby Grissom, prawda?

- Przecież dlatego tu jestem. - Przyglądała mu się jeszcze jakiś czas, ale wyraźnie ją ignorował. W końcu zebrała talerze i poszła zmywać.

- Wróć, nim się ściemni - odezwał się po kilku minutach, gdy wycierając ręce o szorty, skierowała się w stronę drzwi.

- Wrócę, kiedy będę chciała.

- Dobrze, ale nim się ściemni - powtórzył. Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Czy zamierzasz pójść za mną i przywlec mnie tu za włosy, jeśli tego nie zrobię?

Wybuchnął śmiechem.

- Spróbuj, a przekonasz się, Carloto!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Powinien odpocząć, tak jak mu zalecił lekarz. Ale nie zrobił tego. Nie chciał odrywać się od pracy w środku dnia. Poza tym nie chciał, by Carly zauważyła, jak bardzo był słaby...

Do licha! Czuł instynktownie, że Carly O'Reilly ponownie skomplikuje mu życie.

Przesunął ręką po włosach, obserwując jej smukłą sylwetkę znikającą za zakrętem. Dopiero wtedy za nią ruszył.

Powtarzał sobie, że Carly to uparta, mała wiedźma, która z przyjemnością się utopi, byle tylko zrobić mu na złość. I właśnie dlatego musiał ją obserwować.

Przystanął na skraju lasu pod drzewami. Carly była już daleko, prawie przy wysuniętym w morze cyplu. Nie chciał, by go zauważyła. Nie mógł dopuścić, by pomyślała, że się o nią troszczy...

Ale Carly wspięła się na wystającą z morza rafę koralową, przeszła kilka kroków po jej grzbiecie, wreszcie usiadła, obejmując ramionami kolana.

Piran patrzył na nią, oparty o pień palmy kokosowej. Łagodna wieczorna bryza rozwiewała jej włosy - tak samo jak wówczas, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Przymknął oczy, wywołując w pamięci tamten obraz. Bez wątpienia pojawiła się na ziemi tylko po to, by go prześladować, drwić z niego, pociągać czystą miłością i niewinnością, w których istnienie kiedyś wierzył, a które, o czym przekonał go rozwód rodziców, były ułudą.

Zapomnij o niej, powtarzał sobie w duchu. Ale nie potrafił wymazać z pamięci tamtego obrazu ani świąt wielkanocnych, które spędzili razem tutaj, na Conch Cay.

Pamiętał spacer po plaży, jakby to było dziś. Zadawała mu mnóstwo pytań - dogłębnych, mądrych pytań. Była bystra i inteligentna - dokładnie taka, jak sobie wyobrażał. I nic nie

mógł na to poradzić. Z początku udawało mu się odpowiadać monosylabami, ale to nie trwało długo i wkrótce okazało się, że w jej towarzystwie nie potrafi milczeć.

Do diabła, podarował jej nawet kawałek szkła wypolerowanego przez fale!

Nadal czuł ciepło jej palców zamykających się wokół szklanego kamyka. Nadal pamiętał jej uśmiech pełen entuzjazmu i włosy rozwiewane przez wiatr... Chciał je przeczesywać palcami, dotykać... Włożył ręce do kieszeni i zacisnął w pięści, by zwalczyć pokusę.

A potem...

Następnej wiosny już nie udało mu się nad sobą zapanować. Nigdy - ani przedtem, ani potem - nie stracił tak zupełnie nad sobą kontroli. Oparł głowę o pień drzewa i przymknął oczy.

Do diabła, jak wytrzyma cały miesiąc pod jednym dachem z Carly O'Reilly?

Chyba że...

Nagle przyszła mu do głowy zbawienna myśl. To byłoby łatwe, gdyby ona chciała tego samego, co on... Gdyby zgodziła się na krótki, burzliwy romans... A może właśnie na to miała ochotę? Była już dorosła... Może zmądrzała i doszła wreszcie do wniosku, że nadzieje na małżeństwo z nim były płonne. W takim wypadku nie musiałby na każdym kroku powstrzymywać swego pożądania.

Otworzył oczy i zaczął przytomnie rozważać sytuację. Dziewięć lat temu była prawie dzieckiem, a przecież pragnęła go... A teraz?

Co się stanie, jeśli teraz zacznie się do niej zalecać? Jak Carly zareaguje na sugestię spędzania z nim czasu - nie tylko na pisaniu i redagowaniu książki?

Być może pod koniec miesiąca, gdy już zaspokoi swoje pożądanie, fascynacja panną O'Reilly się skończy i będzie

mógł wrócić do normalnego życia, Ta myśl była bardzo pocieszająca. Wolał nie rozważać ewentualności, co będzie, jeśli romans z Carly nie położy kresu całej sprawie.

Carly, wspinając się ścieżką pod górę, zauważyła Pirana stojącego z kieliszkiem w ręku na werandzie; patrzył na świat oczami drapieżnika czyhającego na zdobycz.

Carly uniosła dumnie podbródek i w milczeniu weszła po schodach.

Przepuścił ją bez słowa, a potem poszedł za nią do pokoju.

- Miałaś udaną przechadzkę? - zagał.

- Tak.

- Gdzie byłaś? Spojrzała na niego pytająco.

- Na plaży. O co ci chodzi? Uprawiasz angielską konwersację? - Usiadła na sofie i położyła maszynopis na kolanach, żałując w duchu, że nie ma masywniejszej tarczy.

- Nie złość się, Carloto. Po prostu usiłuję nawiązać rozmowę.

- Po co?

- Skoro mamy razem mieszkać, powinniśmy ułożyć sobie wzajemne stosunki.

- Odniosłam wrażenie, że chcesz po prostu pracować, a nie układać sobie ze mną stosunki - odcięła się.

- Zmieniłem zdanie.

- Co to ma znaczyć? - Spojrzała na niego ostro.

- Chodziliśmy kiedyś razem na plażę, nieprawdaż? - zaczął pojednawczo.

- Byłam wówczas młoda i głupia. - Wzruszyła ramionami, ale zarumieniła się nieoczekiwanie.

- Młoda - przyznał Piran, siadając obok niej.

Carly pożałowała, że nie usiadła na krześle. Odsunęła się nieco, ale Piran położył ramię na oparciu kanapy, prawie dosięgając palcami do jej ramienia.

- Odsuń się, Piran - poprosiła przez zaciśnięte usta.

- Za chwilę. Powiedz, Carly, jak to się stało, że nie wyszłaś za męża?

- Skąd wiesz, że nie wyszłam? Wyglądał na ogromnie zaskoczonego.

- Tak mi się zdawało... - Urwał i przyglądał się jej z nachmurzoną miną.

- Masz rację, nie wyszłam - przyznała. - Jakież to typowe dla ciebie przypuszczenia!

Zignorował ten komentarz, chrząknął i spytał:

- A więc dlaczego nie wyszłaś? O ile sobie przypominam, bardzo ci zależało na zamążpójściu?

- Powiedziałam już, że byłam głupia. - Czy to jej wyobraźnia, czy naprawdę przysuwał się coraz bliżej?

- Zapewne przykład twojej matki nie dostarczył ci wielu argumentów przemawiających za małżeństwem - zauważył.

Carly nie odpowiedziała. Zaciśnęła mocno zęby. Nie miała najmniejszego zamiaru tłumaczyć Piranowi postępowania swej matki. Zresztą i tak niczego by nie zrozumiał.

- Jak się miewa Sue? - wtrącił po chwili.

- Moja matka zmarła we wrześniu.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale równie nagle je zamknął. Wyglądał na poruszonego.

- Dziękuję, że nie składasz mi kondolencji - powiedziała, odsuwając z twarzy kosmyk włosów.

Westchnął i potarł dłonią kark; po chwili wzruszył ramionami, unosząc koniuszek ust w krzywym uśmiechu.

- W przeciwnym bowiem razie okazałbym się hipokrytą?

- Tak.

- Uważam, że twoja matka była przyzwoitą kobietą... - zaczął niepewnie.

- Daj spokój, Piran! - Nie chciała słuchać jego skruchy. Być może, gdyby matka żyła... Ale nie teraz.

- Nie mogę nawet o niej mówić?

- Chyba że masz coś nowego do powiedzenia. Ale, jak sądzę, nie masz. - Spojrzała nań wyzywająco.

- To już bez znaczenia, prawda? - odparł spokojnie. - Skończone. Ojciec nie żyje. Ona też.

- Ale nas to nadal dotyczy. Nie lubisz mnie z powodu mojej matki...

- Lubiałem cię. - Poruszył się nerwowo. - Dobrze o tym wiesz.

- Chodziło ci przecież tylko o seks - powiedziała Carly, mając w duszy iskierkę nadziei, że zaprzeczy.

Ale on tego nie zrobił.

- Byłaś niezwykle atrakcyjną dziewczyną. Teraz jesteś atrakcyjną kobietą.

- Wielkie dzięki! - prychnęła z sarkazmem.

- Czy masz coś przeciw temu?

- Wolalabym być podziwiana nie tylko za walory fizyczne, ale...

- Jesteś również bystra i inteligentna - powiedział, przyglądając jej się z uwagą, - Z pewnością uda ci się uratować moją beznadziejną książkę...

- Mam taki zamiar.

- To świetnie. Doceniam to. - Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawił się jakiś pytający błysk, którego Carly nie potrafiła zrozumieć.

- Co doceniasz? - spytała z powątpiewaniem.

W odpowiedzi wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. Zadrżała pod jego dotykiem, a on znów się uśmiechnął.

- Tak myślałem - mruknął.

- Co myślałeś?

- Że nadal mnie pragniesz.

- Ależ, Piran...

- Nie bądź małą hipokrytką. Wiesz, że to prawda. Ja natomiast pragnę ciebie... - Słaby, pozbawiony ciepła uśmiech igrał na jego wargach. - Jesteś zaskoczona?

- Nie po to tu przyjechałam! - obruszyła się nerwowo.

- Być może. Ale bylibyśmy głupi, nie wykorzystując sytuacji. Zgadzasz się ze mną?

Nie dał jej szansy przyznania sobie racji. Pochylił się nagle do przodu i przytknął usta do jej warg.

Minęło dziewięć lat od tamtego pocałunku. Dziewięć długich lat! Ale równie dobrze mogło to być wczoraj. Nigdy go nie zapomniała.

Na próżno poszukiwała tych samych uczuć i pragnień w stosunku do innego mężczyzny. Spotykała się z kolegą z college'u, w ubiegłym roku z pewnym inżynierem, ostatnio z Johnem. Ale z żadnym z nich nie przeżyła nawet w przybliżeniu czegoś podobnego.

Wmawiała sobie, że tamtą namiętność zrodziła księżycowa noc i młodzieńcze zadurzenie. Ale wystarczyło jedno dotknięcie Pirana, aby zrozumiała, że to nie była prawda. Tak samo jak wówczas, tak i teraz, przyczyną był Piran.

Pocałunek był stanowczy, słodki i namiętny. Zaskoczył ją tak bardzo, że go odwzajemniła. Stopiła usta z jego wargami, oddech z jego oddechem. A jej serce - och, wielkie nieba, co on zrobił z jej sercem!

Chciała się od niego oderwać... Nieprawda, wcale nie chciała. Powinna się od niego oderwać. Ale czuła się złowiona jak ryba na haczyk. I gdyby Piran w końcu nie przestał jej całować - nie wiadomo dokąd zaprowadziłyby ją zmysły.

- Powiedz mi, że ci się nie podobało - powiedział pochylony tuż nad jej ustami. - Powiedz mi, Carly.

Carly wzdrygnęła się, oblizwała usta i próbowała uspokoić pulsujące serce. O, Boże, co się ze mną dzieje? - myślała gorączkowo.

- Nie możesz zaprzeczyć, prawda? - nalegał, owiewając gorącym oddechem jej rozpaloną skórę. - Tak myślałem.

I znów ją pocałował. Tym razem bardziej zachłannie niż poprzednio. Jeśli w ten sposób chciał sprawdzić jej reakcję, otrzymał pożądaną odpowiedź.

- Nie! - Rozpaczliwie próbowała protestować, ale on objął ją ramieniem i mocno przyciągnął do siebie, a potem wsunął rękę pod bluzkę i z łatwością wynikającą z praktyki rozpiął stanik. Usiłowała się wykręcić, ale to tylko sprawiało, że pieszczota jego dłoni bardziej ją podniecała. Zamarła w bezruchu i wykrztusiła: - Piran, przestań...

- Dlaczego? Przecież tego chcesz... Powiedz, że nie chcesz, a przestanę, Carloto. - W odpowiedzi usłyszał tylko cichy jęk przyzwolenia. - Tak myślałem. - Głos miał urywany, chropawy, policzki zaś mocno zarumienione. Wyglądał prawie tak samo jak dziewięć lat temu - był podniecony, pożył jej.

Nie, wcale nie jej pożył, poprawiła się Carly. Pożył kobiety. Jakiegokolwiek kobiety. To była czysta chemia.

Do diabła, ona tak samo reagowała na niego! Przecież go już nie kochała. W każdym razie nie tak jak kiedyś. To jej zmysły go pożyły, nie ona!

Gdy ta prawda do niej dotarła, znalazła wreszcie siłę, by go odepchnąć. Wyrywała się tak rozpaczliwie, że w końcu spadła na podłogę. Natychmiast wstała i pobiegła na drugi koniec pokoju.

Piran poderwał się na równe nogi i stał teraz; patrząc na nią, nadal podniecony i lekko oszołomiony.

- Na litość boską, Carloto, nie zachowuj się jak wystraszona dziewczyna!

Ciekawe, jak by zareagował, gdyby dowiedział się, że naprawdę nią jestem? - pomyślała Carly, powstrzymując histeryczny śmiech i niezdarnie usiłując zapiąć stanik.

Piran postąpił krok w jej kierunku.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - ostrzegła go ostro.

- Nie żartuj, przecież przed chwilą mnie pragnęłaś...

- Być może, ale teraz już nie! I nie zbliżaj się do mnie! - dodała. - Mówię serio, Piran! Nawet nie próbuj! Jeszcze raz mnie dotkniesz...

- Pocałujesz - poprawił ją drwiącym tonem.

- Dotkniesz, pocałujesz lub cokolwiek bądź, a natychmiast odpłynę stąd następną łódką! I powiem Dianie, dlaczego uciekłam.

Zauważyła, że Piran zacisnął szczękę, a na policzku drgał mu mały mięsień.

- Podobało ci się to - powtórzył spokojnie.

Carly nie odezwała się ani słowem; patrzyła mu prosto w oczy, gotowa podjąć walkę, gdyby próbował znów ją napastować i skrywając ból pod maską wściekłości.

- Przypuszczam, że nadal czekasz na propozycję małżeństwa?

- Masz cholerną rację - powiedziała, unosząc podbródek.

Małżeństwo...

O Boże, cóż za nim przemawia? Żaden argument na rzecz małżeństwa nie przychodził Piranowi do głowy, gdy wieczorem, po zapadnięciu zmroku, przechadzał się samotnie po plaży.

Małżeństwo jego rodziców z pewnością było grą pozorów. Musiał być głupi i naiwny, żeby przez tyle lat niczego nie zauważyć! Ale skąd mógł wiedzieć, że jego matka miała kochankę? Skąd mógł wiedzieć, że ojciec był tego świadom, ale wolał zatopić się w pracy, niż podjąć walkę?

Dopiero gdy Des osiągnął pełnoletność i stał się - jak stwierdziła matka - wystarczająco dorosły, by zrozumieć życie, powiedzieli synom prawdę. A potem matka odeszła, by poślubić swego wieloletniego kochanka.

Chwała Bogu! - pomyślał wówczas zdesperowany i zraniony Piran. Odwrócił się od matki i stanął u boku poważnego, kochanego ojca.

A potem Arthur również go zawiódł.

Piran wprost nie mógł uwierzyć, gdy zaledwie pół roku po rozwodzie, ojciec zadzwonił do niego i zaprosił na swój ślub!

- Żenisz się? - Był naprawdę wstrząśnięty.

- Jestem zakochany - wyznał Arthur. Nawet przez telefon sprawiał wrażenie odmłodzonego i szczęśliwego.

- Kim ona jest? - zapytał Piran.

- Ma na imię Sue. Jest tancerką.

- Tancerką? - Nawet teraz Piran nie potrafił opanować zdziwienia. Nie mógł uwierzyć, że jego utytułowany ojciec - profesor, doktor habilitowany, absolwent Oksfordu, wziął sobie za żonę tancerkę z nocnego klubu! - Nie bądź idiotą, tato! - zawołał wówczas zgorszony.

Pamiętał, jak jego dystyngowany ojciec gwałtownie wciągnął powietrze w płuca, a potem odezwał się cichym głosem:

- Postaram się zapomnieć, że kiedykolwiek to powiedziałeś. A w towarzystwie swej macochy masz zachowywać się poprawnie, w przeciwnym razie w ogóle nie przyjeżdżaj.

I Piran nie przyjechał na ślub. Ale nie mógł przez cały czas trzymać się z daleka. Odwiedził ich kilka razy - tylko z ciekawości, jak sobie za każdym razem powtarzał. Chciał zobaczyć ojca i Sue razem. Dziwna to była para.

A może chciał widywać Carly?

Przeczesał dłonią włosy, potem gwałtownie zerwał z siebie koszulę i rzucił się na fale. To był jedyny sposób na rozładowanie frustracji.

Nareszcie wszystko wyjaśnili... Carly miała jednak wrażenie, że zrobili to w sposób zbyt drastyczny.

Jeszcze kilka godzin później czuła smak ust Pirana na swoich wargach. Ale skoro było to potrzebne do wyjaśnienia wzajemnych stosunków, być może dobrze się stało.

Całe szczęście, że wreszcie wyszedł i zostawił ją samą z własnymi myślami.

W przypadku Pirana St Justa małżeństwo nadal nie wchodziło w rachubę... Czy naprawdę pragnęła go poślubić?

Z pewnością nie przyjechała tu z takim zamiarem... Ale teraz? Cóż, niewątpliwie nadal ją pociągał. Ale małżeństwo?

Och, Boże, dlaczego ta myśl wciąż nie dawała jej spokoju! Nie powinna sobie tym głowy zaprzętać... Piran przecież nie chciał się z nią ożenić.

Nazajutrz cały dzień pracowali w milczeniu. Następnego dnia rozszalała się tak gwałtowna burza, że Piran w obawie przed zakłóceniami elektrycznymi wyłączył komputer. To nie powstrzymało Carly od pracy, ale za każdym razem, gdy zmieniała coś w tekście lub wykreślała, Piran domagał się wyjaśnień.

- Niszczysz wszystko, co napiszę - narzekał.
- To pisz lepiej.
- Robię, co w mej mocy. - Za oknem rozległ się grzmot i mignęła błyskawica. - Nie jestem pisarzem.
- Bądź już cicho - mruknęła. - Muszę się skoncentrować, jeśli mam nadać temu jakiś sens.
- To już ma sens - powiedział urażony.
- Dla ciebie i, być może, kilku takich jak ty. Ale Bixby Grissom nie jest wydawnictwem naukowym. Ta książka ma trafić do szerokiego odbiorcy.

- Chcesz powiedzieć, że oni są głupi?

- Nic podobnego - tłumaczyła cierpliwie. - Ale to musi być książka popularnonaukowa. Twoje poprzednie książki nie były tak trudne do zrozumienia.

- Podziękuj za to Desowi.

Na to jeszcze przyjdzie czas, pomyślała ze złością, ale nim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się warkot silnika i znany już głuchy łomot rzuconej paczki z pocztą.

- Przyniosę listy - zaoferowała się, zadowolona, że może choć na chwilę zejść Piranowi z oczu.

Przyniosła nowe czasopisma, kilka oficjalnych listów i dwie delikatnie pachnące, pastelowe koperty. Rzuciła je na stolik.

- Co za niecierpliwa damulka! Może się z nią ożenisz? - Pożałowała tych słów jeszcze w trakcie mówienia - Nie chciała przecież, żeby pomyślał, że jest o niego zazdrosna.

Piran zlekceważył jej komentarz, chrząknął tylko, ale pozostawił listy na swoim miejscu.

Carly westchnęła ciężko, usiadła i z powrotem zabrała się do pracy.

Wyszło słońce i tropikalna roślinność zaczęła parować. Carly otworzyła szeroko okna, włączyła wiatrak, ale mimo to było okropnie duszno i gorąco. Piran snujący się po pokoju jeszcze pogarszał sprawę.

- Mógłbyś zacząć pracować - zasugerowała. - Deszcz przestał już padać.

- Tworzę w głowie - odparł.

Carly ze złością rzuciła papiery na sofę i skierowała się do swojego pokoju.

- Dokąd się wybierasz?

- Idę popływać.

Weszła do pokoju i przebrała się w skromny, granatowy kostium kąpielowy, którego jedynym przyciągającym wzrok elementem były głębokie wycięcia odsłaniające uda.

Gdy owinięta ręcznikiem schodziła ze schodów, zauważyła za sobą Pirana.

- Co ty, u diabła, robisz?

- Idę z tobą.

- Nie potrzebuję twojej asysty.

- Nic mnie nie obchodzi, czego potrzebujesz. To sprawa bezpieczeństwa.

Nie mogąc go się pozbyć, postanowiła go ignorować. Zbiegła ścieżką w dół, potem szybko odwiązała ręcznik, rzuciła się w kryształową wodę i popłynęła w stronę rafy. Dopiero gdy znalazła się blisko niej, odwróciła głowę i zerknęła w kierunku Pirana.

Stał na plaży z rękami na biodrach i obserwował ją. Zapewne doszedł do wniosku, że nic jej nie grozi, po chwili bowiem zdjął koszulę i położył się na piasku.

Carly pływała dobre pół godziny, pozwalając mu prażyć się na słońcu.

Gdy w milczeniu wrócili do domu, czekała już na nich Ruth z obiadem i gałązką jemioli.

Święta... Carly całkiem o nich zapomniała.

- Skoro nie macie drzewka, powinniście chociaż powiesić jemiolę - powiedziała Ruth i wskazała punkt na suficie między kuchnią a salonem. - Doskonałe miejsce do całowania się, prawda, Piran? Powieś to od razu! - Nie pozwoliła na żadne protesty. - Dobrze, a teraz pocałunek - roześmiała się szelmowsko i spojrzała wyczekująco na Pirana i Carly.

Carly bezwiednie opuściła wzrok. Nie miała pojęcia, co robił Piran, aż usłyszała nagły pisk Ruth.

- Nie mnie, głuptasie! Masz pocałować pannę Carly!

- Ona nie lubi się ze mną całować - usprawiedliwił się.

- Z pewnością się mylisz. Wszystkie kobiety lubią całować przystojnych mężczyzn, prawda, kochanie?

Carly najchętniej zapadłaby się pod ziemię, ale tylko wzruszyła ramionami.

- Ona odpowiada twierdząco - przetłumaczyła ten gest Ruth. - Teraz ją pocałuj!

I Piran ją pocałował. To miało być ledwie muśnięcie wargami - obowiązkowy, przyzwoity pocałunek - i Carly o tym wiedziała. Obydwoje wiedzieli. Ale nieoczekiwanie wydarzyło się coś niesamowitego - jakaś gwałtowna, pierwotna siła popchnęła ich ku sobie i nagle stracili rozsądek. Pocałunek był namiętny, dziki, desperacki - taki, którym się prosi o więcej.

Po tym incydencie ledwie mogli na siebie patrzeć. W ogóle się do siebie nie odzywali. Każde słowo pogorszyłoby tylko sytuację.

W piątek przed południem, gdy obydwójce pracowali w salonie, nadjechał samochód i po chwili dało się słyszeć charakterystyczne uderzenie na ganku. Carly mimochodem zerknęła na zegarek. Dochodziło południe.

- Wcześniej dostarczyli dziś pocztę - skomentowała. - Idź po nią. Jestem teraz zajęta.

Piran oderwał wzrok od komputera i podniósł się z krzesła. Po chwili wrócił z pustymi rękami.

- Nie ma poczty? - zdziwiła się Carly. - Przecież słyszałam samochód...

Piran patrzył na nią przerażonym wzrokiem; twarz miał bladą jak marmur.

- Co się stało? - spytała, marszcząc brwi.

- Podrzuciono dziecko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co masz na myśli, mówiąc, że to moje? - powiedział Piran. Właściwie nie powiedział, lecz wrzasnął. Jak śmiała posądzić go o coś podobnego! Pomaszerował na drugi koniec werandy, potem odwrócił się i spojrzał na Carly ze złością.

- Gdybym miał dziecko, niewątpliwie bym o tym wiedział!

- Niekoniecznie - zauważyła tak obojętnym tonem, że miał szczerą ochotę ją uderzyć. - Tylko kobieta...

- Myślisz, że jestem rozplodowym ogierem?

Nie odpowiedziała od razu. Popatrzył na nią posepnie, potem znów na dziecko. O Boże, dziecko! Nadal nie mógł w to uwierzyć.

- Przestań tak się miotać, na litość boską! - warknęła.

- Ono się ciebie boi.

Z wzajemnością, pomyślał. Ale przestał chodzić po werandzie i przyglądał się Carly, która przykleknęła przy wyplatany koszyku.

- Jak myślisz, skąd ono się wzięło? - Piran podszedł i pochylił się nad dzieckiem.

Carly rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

- Czy mam ci opowiedzieć o ptaszkach i pszczołkach czy o bocianie? - zadrwiła.

Poczuł, że twarz mu płonie.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli. Kto je podrzucił... ?

- Przerwał i ciągle oszołomiony potrząsał głową.

- Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie - powiedziała Carly. - Jeśli jesteś jego ojcem...

- Do diabła, nie jestem niczym ojcem!

- Dlaczego więc ktoś miałby podrzucić ci dziecko? - spytała z bezlitosną logiką.

- Nie mam pojęcia. I przestań patrzeć na mnie w ten sposób, dobrze?

Carly nic nie powiedziała, jednak nie przestała na niego patrzeć.

- Tylko dlatego, że kiedyś daliśmy się ponieść emocjom...
- wymamrotał, przeczesując palcami włosy.

- Kiedyś? - przerwała mu z oburzeniem. - Nie dalej jak kilka dni temu chciałeś iść ze mną do łóżka!

- Owszem, ale nie poszliśmy, prawda?

- Nie twoja w tym zasługa. I nie opowiadaj, że przez dziewięć lat żyłeś w celibacie. A co z tą damą od pastelowych kopert?

Piran zaklął pod nosem; nie chciał rozmawiać o Wendy Jeffries... Chciał o niej zapomnieć. Opuścił ramiona.

- Co z nią? - nalegała Carly.

Piran zacisnął zęby. Wendy Jeffries ścigała go z podziwu godną determinacją, odkąd poznali się na przyjęciu w Waszyngtonie ponad rok temu.

Przechodził wtedy trudny okres. Jego najbliższy przyjaciel i partner od nurkowania, Gordon Andrews, zginął w wypadku samochodowym. Za kierownicą siedział Piran...

Des powtarzał mu w kółko, że to nie była jego wina. Każdy mu to mówił... Nawet żona Gordona, będąca wówczas w ciąży, powiedziała mu to samo, gdy przywiózł jej tragiczną wiadomość.

Ale te wszystkie zapewnienia nie pomagały. Piran czuł ciężar winy, mimo że ten drugi samochód przejeżdżał na czerwonym świetle... Zaczął wtedy pić. I wówczas poznał Wendy...

Nie powinien iść na to przyjęcie, ale Des wyciągnął go siłą. I z pewnością nie powinien pić tam tak dużo ani wyjść z Wendy. Następnego ranka obudził się obok niej w łóżku.

Uważniej przyjrzał się dziecku. Czy to możliwe...? Czy było to dziecko Wendy? Czyżby o tym donosiła mu w listach, które, nie czytając, wyrzucał do śmieci? Poczł mdłości.

Potrząsnął głową i z nachmurzoną miną popatrzył znów na dziecko. Czy naprawdę było to jego dziecko?

Dziecko skrzywiło się i zaczęło płakać.

- Och, biedactwo - powiedziała Carly śpiewnym głosem.

- Nie jest żadnym biedactwem...

- Do diabła, Piran, zamknij się! Cicho, dzidziusiu, tatuś nie chciał cię przestraszyć.

- Nie jestem jego tatusiem! - Przynajmniej miał taką nadzieję.

- Piran! - Carly posłała mu wściekłe spojrzenie. Bezskutecznie głaskała dziecko po głowie; nadal płakało.

Piran chwycił się obiema rękami za włosy.

- Na litość boską, Carly, ucisz je!

- Płacze przez ciebie - oznajmiła.

- A więc trudno przypuszczać, bym mógł je uspokoić - powiedział, zdobywając się na rozsadek. - Zrób z nim coś.

Popatrzyła na niego bezradnie.

- Ale co ? Nie mam dzieci... Nigdy nie miałam młodszego rodzeństwa...

- Ale przecież jesteś kobietą! - zawołał z egzaltacją.

- To jeszcze nie oznacza, że mam odpowiednie kwalifikacje.

- Z pewnością lepsze niż ja - zapewnił.

Piran odetchnął z ulgą, gdy w końcu Carly sięgnęła do koszyka, wzięła dziecko na ręce i niezbyt wprawnie przytuliła je do piersi. Chwilę jeszcze zawodziło, potem dostało czkawki, wreszcie przestało płakać i przyglądało się światu dużymi, niebieskimi oczami.

- Dzięki Bogu - westchnął Piran.

- Podziękuj raczej mnie - odparła.

Z przyjemnością ucałowałyby jej stopy. Dlaczego ten dziecięcy płacz tak bardzo go poruszył? Być może dlatego, że

sam miał wielką ochotę się rozplakać... Przecież nie mógł być jego ojcem! A może...?

Carly wskazała kartonowe pudło, w którym znajdowały się ubranka, butelki oraz puszki z mlekiem.

- Tam jest jakaś kartka...

Piran chwycił ją, przeczytał, po czym zacisnął usta w wąską linię.

- Co tam jest napisane? - spytała zaciekawiona.

- Jego imię. - Zmiał kartkę.

- Jakie...?

Odetchnął głęboko, nim odpowiedział:

- Arthur.

- No proszę! Cześć, Arthur! - zwróciła się do niemowlęcia, które zamrugało oczami i popatrzyło na Carly z zainteresowaniem. - Zna swoje imię - oznajmiła radośnie.

Piran włożył ręce do kieszeni szortów.

- Świetnie - skomentował.

- I ma twój nos...

- Nieprawda! Nie mam haczykowatego nosa!

- On też nie. Ma nos silny i zdecydowany. A jego oczy mają dokładnie taki sam kolor jak twoje.

- Jego oczy są niebieskie.

- Mają dokładnie ten sam odcień co twoje.

- I oczy tysiąca innych ludzi - dodał nie przekonany.

- Ale jego podrzucono na twoją werandę - upierała się. - O Boże, co się stanie, jeśli nikt po niego się nie zgłosi? - uświadomiła sobie nagle.

- Ja go nie zatrzymam! Nawet jeśli na tej kartce było napisane, że to sam Piran St Just! On tu nie zostanie.

- W jaki sposób zamierzasz się go pozbyć? - spytała nieufnie.

- Mam nadzieję, że ten, kto go zostawił, wróci. - Rozejrzał się wokół z nadzieją, że ktoś ukrywa się w krzakach, ale spotkało go rozczarowanie.

- Obawiam się, że nikt po niego nie wróci - powiedziała Carly, wskazując ponownie na pudło pełne ubranek i żywności dla niemowląt.

Piran miał podobne obawy, ale nie chciał się do nich przyznać.

- Oczywiście, że wróci - powtórzył z przekonaniem. Jeśli tak się nie stanie, nie potrafił wyobrazić sobie, co pocnie z dzieckiem.

Do wieczora Carly odkryła w sobie zdumiewające instynkty macierzyńskie. Postawa Pirana była jednak nieprzejednana. Gdy przygotowywała lunch, obserwował ją i dziecko z mieszaniną irytacji i zdenerwowania. Kiedy zaś zasugerowała, by wziął Arthura na ręce, popatrzył tylko na nią spode łba. A kiedy wreszcie podała posiłek, ostentacyjnie wziął swój talerz i usiadł przed komputerem.

- On nie gryzie, Piran - powiedziała Carly. -

- Całe szczęście.

Przez resztę dnia siedział zatopiony w pracy. Wiedziała, że był to sposób na unikanie Arthura. Od czasu do czasu zerkał na Carly i dziecko, jakby miał nadzieję, że niepostrzeżenie znikną. Wreszcie wyłączył komputer i wstał.

- Idę do miasta - zakomunikował. - Trzeba zasięgnąć języka.

Wrócił w porze kolacji wyraźnie zmęczony i zły. Na temat Arthura nikt nic nie wiedział. Dziś rano przyплыnęła łódź z czterdziestoma turystami na pokładzie. Nikt nie zauważył kobiety z małym dzieckiem.

- I co teraz? - spytała Carly, gdy przekazał ponure wieści.

- Nie wiem - wymamrotał.

Carly przyjrzała mu się uważniej. Twarz miał zarumienioną od słońca i wysiłku, ale pod rumieńcem zauważyła siną obwódkę wokół ust.

- Dobrze się czujesz?

- A dlaczego miałbym się źle czuć! - zadrwił. - Przecież tylko podrzuciono mi uroczego chłopczyka i przespacerowałem się do miasta i z powrotem w skwarne południe, aby dowiedzieć się, że nikt nie wie, kim on jest!

Carly powstrzymała się od komentarza, że obydwójce doskonale wiedzą, kim jest Arthur. Nie wiadomo tylko, kto go zostawił.

- Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy - powiedziała cicho. - Może teraz pójdziesz odpocząć? Od razu poczujesz się lepiej.

- Poczuję się lepiej, gdy on stąd zniknie - burknął ze złością. Po chwili westchnął i wytarł spoconą twarz dłońmi. - Przepraszam... To mnie po prostu rozstroiło.

Wyglądał naprawdę żałośnie. Carly ostatkiem woli opanowała się, by doń nie podejść i nie otoczyć go ramieniem.

- Wszystko się ułoży - zapewniła życzliwie.

Ruth prócz obiadu przyniosła również grzechotkę, z której wyrosła jej ostatnia pociecha, kilka bananów, które Piran miał ugnieść na papkę oraz wiele dobrych rad na temat postępowania z malutkim dzieckiem.

- Założę się, że nie miałeś o nim pojęcia - powiedziała do Pirana, uśmiechając się porozumiewawczo.

- O, tak - zgodził się z ociąganiem.

- Co za przystojny chłopak - rozpływała się Ruth, przyglądając się dziecku leżącemu w ramionach Carly. Puściła do niej oko. - Tak samo jak jego ojciec, prawda?

- Nie jestem jego... - Nim Piran zdołał dokończyć zdanie, Ruth roześmiała się i połaskotała dziecko w brzusek.

- Trudno nie zauważyć, że ma nos St Justów, prawda?

- Czy ona sądzi, że będę dochodzić ojcostwa? - utyskiwał Piran po wyjściu Ruth.

- Być może uważa, że powinieneś. - Carly wymownie ziewnęła. - Mógłbyś mi trochę pomóc - dodała. - Jestem zmęczona.

- Ja też.

- Ale Arthur ani trochę. - Właśnie przyglądał jej się szeroko otwartymi oczami i bawił się butelką, którą usiłowała włożyć mu do ust. - Dlaczego nie potrzywasz go choć przez chwilę?

- Doskonale ci idzie.

- Cieszę się, że mnie doceniasz, ale naprawdę jestem zmęczona. Chodź, Piran! Tylko na kilka minut...

Wreszcie wstała, podeszła do niego i posadziła mu Arthura na kolanach.

- Carly! - krzyknął jak oparzony.

- Uspokój się. Wszystko w porządku. On przecież nie zrobi ci krzywdy.

- Ale ja mogę mu zrobić!

- Po prostu daj mu jeść. - Podała mu butelkę z mlekiem.

Piran nieporadnie włożył butelkę Arthurowi do buzi. Chłopczyk pociągnął kilka razy, po czym wypluł smoczek. Piran popatrzył na Carly z przerażeniem.

- Próbuj dalej! - usiłowała dodać mu otuchy.

Piran ponowił próbę. Wreszcie Arthur cmoknął i zaczął ssać.

- Karmię dziecko. - Piran był głęboko wstrząśnięty.

- Cuda czasami się zdarzają - powiedziała sentencjonalnie Carly. - Naprawdę nigdy nie trzymałeś dziecka na ręku?

- Raz próbowałem - przyznał po chwili. - Gdy urodził się Des... Miałem wtedy sześć lat. Kiedy usłyszałem, że płacze, chciałem go wziąć na ręce... - Zawahał się, a potem mówił dalej: - Właśnie wyjmowałem go z kołyski, gdy do pokoju

weszła moja matka. Zobaczyła, co robię i krzyknęła: „Uważaj!”. Wtedy go upuściłem. - Nawet teraz jego głos dźwięczał echem dawnego bólu.

- Och, Piran - powiedziała Carly współczująco. - Przecież naprawdę chciałeś pomóc. Matka nie powinna na ciebie krzyczeć.

Piran wzruszył ramionami.

- Przestraszyła się o Desa - powiedział. - I miała rację.

- Coś mu się stało?

- Nic. Ale długo płakał. Matka też. Powiedziała mi, żebym więcej go nie dotykał.

- To zdumiewające, że teraz się przyjaźnicie - wtrąciła tonem zadumy.

- Jest teraz wyższy ode mnie. - Piran uśmiechnął się ciepło. - I doskonale radzi sobie w życiu. Potrzebujemy się nawzajem. On pisze dużo lepiej ode mnie...

- Ale ty wykonujesz czarną robotę - wtrąciła z uznaniem.

- Zbierasz materiały, a to bardzo trudne.

- Robię to, co lubię - powiedział szczerze. - Dobrze nam się razem pracuje, ponieważ lubimy różne rzeczy. - Rozsiadł się wygodniej w fotelu i bezwiednie poprawił Arthura w swoich ramionach. - Co się stało? - spytał, widząc na ustach Carly uśmiech pełen zadowolenia.

- Pomyślałam, że do twarzy ci z dzieckiem. Naprawdę uważasz, że on nie jest twój? - spytała z drżeniem w sercu. Bardzo pragnęła usłyszeć twierdzącą odpowiedź.

Piran poruszył się niespokojnie i potarł dłonią policzek.

- Nie wiem - powiedział w końcu.

- Jak możesz nie wiedzieć? - wybuchła. - Czy naprawdę miałeś aż tyle kobiet?

Nie odpowiedział wprost; odchylił głowę do tyłu, oparł o poręcz fotela i na chwilę przymknął oczy. Potem otworzył je i spojrzał z zainteresowaniem na Arthura.

- Jak myślisz, ile on ma...? Około sześciu miesięcy?
- Nie potrafię dokładnie określić wieku niemowląt - powiedziała Carly - ale chyba około pół roczku. Jeśli urodziłby się latem, w czerwcu albo w lipcu, to znaczy, że zostałby poczęty na jesieni, we wrześniu lub październiku...
- Tak właśnie myślałem - przerwał jej Piran ze smutkiem.
- W takim razie pozostaje pytanie, kto w październiku był „dziewczyną miesiąca”? ~ wtrąciła zgryźliwie.
- Nie było żadnej dziewczyny miesiąca! - zaperzył się.
- Musisz mieć jakąś hipotezę. Jeśli oczywiście nie było setek dziewczyn... ?
- Przestań, do diabła! Nic nie potrafię wymyślić! Po prostu nie wiem. - Piran wstał gwałtownie, ponieważ jednak zdał sobie sprawę, że trzyma dziecko, opadł z powrotem na krzesło z wyrazem rezygnacji na twarzy. Wpatrywał się w wiatrak wirujący wolno na suficie. Wyraźnie unikał wzroku Carly. - Pamiętasz Gordona Andrewsa? - spytał w końcu.
- Gordona? Tego blondyna, z którym studiowałeś na uniwersytecie?
- Tak.
- Oczywiście, że pamiętam. Spotkałam go kiedyś w Nowym Jorku. Był dla mnie bardzo uprzejmy. O wiele miłszy niż ty... Polubiłam go od razu.
- Wszyscy go lubili - powiedział Piran tak cicho, że ledwie go usłyszała. - Gordon był wspaniały.
- Był?
- Zginął w sierpniu ubiegłego roku w wypadku samochodowym. .. Byliśmy we trzech w Waszyngtonie, żeby skonsultować projektowaną wystawę z pracownikami muzeum... Dojeżdżaliśmy już do lotniska, gdy nagle... ciężarówka wyjechała na czerwonym świetle... - Urwał i przełknął ślinę. - Uderzyła nas w bok za siedzeniem kierowcy.

Byłem tylko lekko poduczony, Des miał złamaną rękę. Gordon siedział z tyłu. Zginał na miejscu.

- O Boże! - Carly poczuła bolesny skurcz w gardle.

- Ja prowadziłem - powiedział Piran po dłuższym milczeniu. - Nawet nie zauważyłem tej ciężarówki. Do licha, powinienem był ją zauważyć! - Głos załamał mu się pod wpływem bólu.

Carly nie odezwała się ani słowem. Wyciągnęła ramiona po dziecko, a potem wolną ręką chwyciła jego dłoń i ją uścisnęła.

Nie powiedziała, że to nie była jego wina. Wiedziała, że sobie to uświadamiał, choć nadal, wbrew logice i faktom, nie mógł sobie darować, że nie zapobiegł wypadkowi.

Piran wolno uniósł głowę; w jego niebieskich oczach błyszczały łzy. Popatrzył na Carly, potem przeniósł wzrok na ich splecione dłonie. Nagle przyłożył pięści do oczu.

- I dlatego niewiele pamiętasz...? - szepnęła Carly.

- Nie mogłem dać sobie rady po śmierci Gordona - wyznał. - Po prostu załamałem się. Nie pracowałem, piłem... Pytałem Boga, dlaczego to nie byłem ja. Przecież nie miałem żony ani dwuletniego dziecka i drugiego w drodze! - Westchnął ciężko. - Des też był załamany, ale znalazł sobie dziewczynę, która pomogła mu przez to przejść. Chyba naprawdę się zaangażował... Próbował mnie pocieszyć. Przypuszczał pewnie, że mnie też przydałaby się podobna terapia... Wyciągał mnie na przyjęcia, przedstawiał różnym kobietom. Jedną z nich jest owa „niecierpliwa damulka”, jak ją nazwałaś. - Uśmiechnął się lekko.

A więc z nią spałeś! - Te słowa uwięzły Carly w gardle.

- Tej nocy, gdy ją poznałem - ciągnął Piran - byłem pijany do nieprzytomności. Przypuszczam, że litowała się nade mną. Zabrała mnie do siebie do domu i... następnego ranka obudziłem się w jej łóżku.

Przez chwilę patrzył Carly prosto w oczy, potem zmieszany swoją szczerością odwrócił wzrok.

Z oddali dobiegał odgłos fal rozbijających się o brzeg, z bliższej natomiast odległości miarowe rechotanie żab.

- A więc... - Głos Carly załamał się na chwilę. - A więc przypuszczasz, że ona może być matką Arthura?

- Nie wiem. O Boże, nie pamiętam niczego, co się stało po przyjeździe do jej mieszkania!

- Czy były... czy były również inne dziewczyny? - indagowała Carly.

Przetarł dłońmi twarz, potem oparł łokcie na kolanach i popatrzył na dziecko spoczywające w ramionach Carly.

Przez prawie pięć minut siedzieli w milczeniu. Arthur przymknął powieki i przestał ssać smoczek; rozchylił lekko usteczka, a w ich kącikach pojawił się jakby słaby uśmiech.

- Czy on jest moim synem? - spytał Piran sam siebie. Potem popatrzył na Carly oczami pociemniałymi z rozpacz. - Co ja zrobię z synem?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dźwięk zdawał się dochodzić z oddali - całe lata świetlne stąd. Piskliwe, wznoszące się i opadające zawrodoenie. Z początku ciche i delikatne, potem coraz mocniejsze, coraz bardziej natarczywe.

Płacz dziecka...

Piran nie miał pojęcia, od jak dawna je słyszy. Wydawało mu się, że od zawsze. Początkowo to był Des - niemowlę o czerwonej buzi, które tak dobrze pamiętał z dzieciństwa. Dopiero gdy rozbudził się na dobre, uświadomił sobie, kto płakał naprawdę...

To był Arthur...

Jego syn...?

Nagle ogarnęła go panika. Już nie mógł zasnąć, usiłował myśleć, rozpaczliwie coś sobie przypomnieć. Czy rzeczywiście przespał się z Wendy? Czy była wówczas jedyną kobietą, z którą spał? O Boże, to całkiem do niego niepodobne! Takie traktowanie seksu nie było w jego stylu. To strata Gordona dotknęła go tak mocno, że...

Dobra wymówka, zganił się w duchu. Ale przecież nie o to chodziło. Jeśli Arthur okaże się jego synem, oczywiście zadba o jego utrzymanie. Wychowa go - jeśli będzie musiał.

Ale teraz, słysząc jego płacz, czuł się bezradny jak dziecko. Zacisnął dłonie na pościeli. Och, Carly, przyjdź i ucisz go!

Ale Carly nie nadchodziła.

Piran nakrył głowę poduszką. Nic z tego. Przycisnął dłonie do uszu. Też nic.

W końcu musiał wstać i wejść do sąsiedniej, małej sypialni. Pochylił się nad prowizorycznym łóżeczkiem, które wymyśliła i skonstruowała Carly.

- Hej, mały, uspokój się! - szepnął z naciskiem.

Ale jego prośba nie wywarła żadnego skutku. Przeciwnie - płacz się nasilił.

Piran pochylił się niżej; pogłaskał ciepłe plecy dziecka, próbując uspokoić go, tak jak wcześniej czyniła to Carly.

Ale najwyraźniej nie potrafił okazać ojcowskiej czułości, ponieważ rozżalony Arthur darł się teraz wniebogłosy. Wreszcie zdesperowany, ufając Bogu, że nie pozwoli, by upuścił dziecko, nieporadnie wziął je na ręce.

Gdy przytulił małe, kruche ciało do piersi, i zaczął z nim chodzić po pokoju, Arthur przestał krzyczeć, zakwilił tylko dwa razy, i w końcu nastąpiła błogosławiona cisza.

- Jesteś głodny? - Piran wypowiedział te słowa z lekkim uśmiechem. - Zaraz zrobię ci coś do jedzenia. Co ty na to?

W drodze do kuchni wpadł prosto na Carly.

Wyglądała uroczo i niezwykle pociągająco; miała na sobie tylko cienką, bawełnianą koszulę, która sięgała jej do pół uda. Rozpuszczone, bujne włosy w półmroku wydawały się jeszcze bujniejsze. Piran z wrażenia wciągnął powietrze.

Ale z wiercącym się w ramionach tobołkiem, który kopał go w żebra i znów zaczynał płakać, nie mógł dłużej poświęcić Carly uwagi.

- Proszę, zrób coś z nim - powiedział, wręczając jej niemowlę.

Ale Carly nie wyciągnęła rąk.

- Doskonale sobie radzisz. Jeśli go nakarmisz, przestanie płakać. Być może trzeba go także przewinąć...

- Przewinąć? - Piran wytrzeszczył oczy.

- Owszem, a ja przygotowuję butelkę.

- A może zamienimy się rolami? - spytał z nadzieją w głosie.

Ale Carly zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Ciesz się, że w ogóle coś robię.

- Jesteś okrutna - burknął.

- Jestem wiedźmą, wiem. Już mi o tym mówiłeś. - Poklepała go w policzek, a potem zniknęła w kuchni, pozostawiając go na pastwę Arthura.

Piran zaskoczony dotknął ręką policzka, na którym czuł jeszcze ciepło jej palców. Potem spojrzął z ukosa na Arthura.

- Mam cię przewinąć, słyszysz? - powiedział do dziecka. - Będziesz wrzeszczał?

Odpowiedź była twierdząca.

Gdy uporał się ze śpiochami, mokrą i suchą pieluchą oraz plastikowymi majtkami, pojawiła się Carly z butelką. Piran czuł się tak, jakby przed chwilą spenetrował co najmniej dwie hiszpańskie karawele.

- Dobra robota - pochwaliła go Carly.

- Trochę na mnie nasikał - poskarżył się.

- Nie szkodzi. Wypadek przy pracy. - Podała mu butelkę.

- Miej nade mną litość, Carly - poprosił. - Teraz twoja kolej.

- Nakarmisz go tylko...

- Żeby dodać mu sił do jutrzejszej walki z nami - zakpił. Carly wybuchnęła śmiechem.

- Właśnie o to chodzi. - Wreszcie ustąpiła. - No, dobrze, daj mi go.

Ułożyła Arthura w zagłębieniu ramienia i włożyła mu smoczek do ust. Tym razem nie wahał się ani chwili; chwycił łąpczywie i zaczął ssać. Zamrugnął powiekami i spojrzął na Carly takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „No, nareszcie!”.

Carly przytuliła go mocniej i pocałowała w czoło. Arthur ssał z zadowoloną miną.

Piran obserwował tę wzruszającą scenę z dziwnym uciskiem w gardle. Nie rozumiał swojej reakcji. Powoli zaczął się wycofywać z pokoju.

- Zostawię was samych - mruknął pod nosem.

- Śpij dobrze. - Uniosła na chwilę wzrok. - Do jutra. Piran wrócił do łóżka. Leżał i myślał o ciepłym ciałku dziecka, które przed chwilą tulił do piersi. Myślał o tym, jak dziecko płakało, a potem uspokoiło się... I o tym, jak wzruszająco Arthur wygląda! w ramionach Carly.

Myślał również o Carly. O jej urodzie i szlachetności charakteru. O tym, jak wyglądała dawno temu. O tym, jak wyglądała teraz z dzieckiem na ręku.

Za każdym razem, gdy o niej myślał, czuł zakłopotanie. Jeśli miała w sobie tyle subtelności i dobroci, jak mogła być córką Sue?

Byłaby z niej wspaniała matka, doszedł do wniosku.

Tej nocy już nie zmrużył oka.

Gdy o dziewiątej rano Piran wyłonił się ze swej sypialni, Carly była już od dwóch godzin na nogach. Nie wyglądał najlepiej; policzki pokrywał mu jednodniowy zarost, oczy miał podpuchnięte i zaczerwienione, a włosy zmierzwione.

Oczywiście, jeśli leżał bezsennie i rozmyślał o konsekwencjach ojcostwa, być może wyjdzie mu to na dobre, pomyślała Carly. Obserwowała go uważnie, oczekując słów potwierdzających jej przypuszczenia.

Piran jednak popatrzył na nią martwym wzrokiem i nie mówiąc nawet dzień dobry, przemknął obok sofy, na której siedziała i podszedł wprost do ekspresu do kawy. Stał odwrócony tyłem, z rękami opartymi o blat kuchenny i czekał, aż zagotuje się woda.

Carly przyglądała mu się z narastającą irytacją; w końcu zagryzła wargi i znów skupiła uwagę na tekście, który usiłowała zredagować, mimo protestów Arthura. Nie podnosząc wzroku, zauważyła, jak Piran podszedł do okna, oparł się o framugę i wodził ponurym wzrokiem po bujnej roślinności w ogrodzie. Gdy kawa się zaparzyła, nalał sobie filiżankę, nie proponując Carly, i zamiast usiąść na krześle,

oparł się znów o blat i gapił bezmyślnie na filizankę, którą obracał w dłoni. Po chwili upił łyk, westchnął, znów upił łyk, wreszcie przemówił:

- Nie wiem, co mam robić. - Słowa te przerwały ciszę niczym spadające kamienie.

Gdy Carly podniosła oczy i zobaczyła strapioną, smutną twarz Pirana, miała ochotę podejść do niego, powiedzieć mu, że wszystko dobrze się ułoży, pocieszyć go. Nie zrobiła tego jednak. Po tym wszystkim, co między nimi zaszło, obawiała się, że Piran mylnie odczyta jej intencje.

Poza tym, musiała szczerze przyznać, że sytuacja wcale nie wyglądała różowo. Szansa, aby wszystko dobrze się skończyło, była niewielka.

Carly wolałaby o tym nie myśleć. Potrząsnęła głową i spojrzała znów na tekst. Ale praca nad książką Pirana, która jeszcze wczoraj wydawała się zadaniem pierwszoplanowym - teraz nagle straciła na znaczeniu.

Arthur wyciągnął rączkę i poklepał jej dłoń. Mimo że właśnie on był przyczyną obecnych kłopotów, musiała się do niego uśmiechnąć.

- Skończyłeś? - spytała. Ale gdy usiłowała wyjąć mu butelkę, skrzywił buzię do płaczu. - Oszust - zbeształa go cicho.

Kątem oka widziała bosc stopy Pirana zbliżające się do kanapy. Podniosła oczy do góry i uchwyciła jego nadal nieprzytomne spojrzenie. - Myślę, że jeśli zaczniesz stopniowo przyzwyczajać się do nowej sytuacji, wszystko z czasem się ułoży - powiedziała niepewnie.

- Nie wiedziałem, że masz dar przewidywania przyszłości - zakpił.

Ten sarkazm tak ją zabolął, że gwałtownie odwróciła wzrok i zacisnęła wargi w wąską linię.

- Och, przepraszam - wymamrotał. - To nie twoją winą. Nie powinienem na tobie się mścić. - Popatrzył na nią zmieszany. Potem zamknął oczy i potrząsnął głową. - Być może masz rację, ale... O Boże, dziecko!

- Nie myśl o nim jak o dziecku - poradziła. - Pomyśl o nim jako o człowieku, o Arthurze.

- Co za idiotyczne imię dla dziecka! - wybuchnął.

- A jak byś go nazwał? Wsunął ręce do kieszeni.

- Nigdy o tym nie myślałem. Posiadanie dzieci nie było najważniejszym celem mego życia.

To oczywiście, skoro w ogóle nie myślał o małżeństwie. A jednak Carly wiedziona wewnętrznym przymusem powiedziała:

- Cele życiowe się zmieniają.

Piran upił kolejny łyk kawy i wyjrzał przez okno. Nastąpiła niezręczna cisza.

- Zastanawiałam się... - Carly przerwała milczenie. Nie była jednak pewna, jak wyrazić swe myśli, by Piran znów nie poczuł się urażony.

- Nad czym? - spytał, gdy cisza się przedłużała.

- Myślałam o tych listach... - powiedziała pośpiesznie.

- Czy nie było w nich jakiejś aluzji... ?

- Nie czytałem ich. Carly wytrzeszczyła oczy.

- Nie interesowało mnie, co Wendy ma mi do powiedzenia. - Przeciągnął dłonią po twarzy. - Przynajmniej tak mi się wydawało - dodał ponuro.

- Gdzie są te listy? - Carly nie chciała się przyznać, ale wyjaśnienie Pirana natchnęło ją optymizmem.

- Wyrzuciłem je. I nie ma szans, by je odzyskać. - Podniósł głos. - Ruth zabrała wczoraj wszystkie śmiecie.

- Być może dostaniesz następny list - westchnęła Carly.

- Być może - rzekł z cieniem nadziei w głosie.

Ale, jak na złość, tego dnia w pocztowym koszyku nie znaleźli listu w pastelowej kopercie. Nie było go tam również nazajutrz ani przez cały następny tydzień.

Piran chodził jak struty, wściekał się i irytował. Carly wiedziała, że żyje w panicznym napięciu. Mimo to jednak - i mimo uciążliwej obecności Arthura - praca nad książką posuwała się naprzód.

Carly, ku własnemu zdziwieniu, odkryła w sobie instynkt macierzyński i doskonale radziła sobie z niemowlęciem, mimo że nigdy dotąd nie opiekowała się dziećmi.

- Myślę, że zawdzięczam to pracy w redakcji - powiedziała któregoś dnia do Pirana.

- Redagowanie książek przygotowało cię do macierzyństwa? - Popatrzył na nią zdumiony. - W jaki sposób?

- Nauczyłam się robić siedem rzeczy naraz. - Uśmiechnęła się. - Sloan zleca nam jedno zadanie po drugim. Wyćwiczyłam więc podzielność uwagi. Poza tym nabrałam doświadczenia w uspokajaniu wybuchowych autorów. W gruncie rzeczy nie ma dużej różnicy między nimi a Arthurem, jeśli akurat jest w swoim najzłośliwszym nastroju.

Trzymała właśnie dziecko na biodrze, a drugą ręką mieszała sos do spaghetti. Na kuchennym blacie leżał kolejny fragment książki Pirana, który właśnie redagowała. Co chwila odkładała łyżkę, bujała Arthura, a potem na marginesie nanosiła poprawki.

- Nie zauważyłem, żebyś kiedykolwiek, chcąc mnie uspokoić, dawała za wygraną - skomentował Piran pod nosem. Ale ton jego głosu nie był tak sarkastyczny jak zazwyczaj. Właściwie w ciągu ostatnich kilku dni wyraźnie złagodniał.

Carly zdawała sobie sprawę, że wiadomość o posiadaniu syna podziałała nań jak wstrząs elektryczny. Nadal nie mógł się z tą nowiną oswoić. Choć Arthur przebywał z nimi już od

tygodnia, Piran nadal w jego towarzystwie czuł się spięty. To prawda, że karmił go, gdy Carly była zmęczona, i przewijał, jeśli właśnie kończyła opracowywanie tekstu - ale za nic w świecie nie chciał zostać z Arthurem sam na sam.

- Nie jestem na to przygotowany - mawiał za każdym razem, gdy sugerowała, że pójdzie sama na plażę albo do miasteczka.

Tchórz, myślała. Nie była przecież zawodową niańką, ale w przeciwieństwie do Pirana nie miała kompleksu niekompetencji. Uczyła się na błędach, Arthur zaś był doskonałym nauczycielem. Jeśli nie zaspokajała jego potrzeb - natychmiast dawał o tym znać.

Przynajmniej pod jednym względem życie Carly w Blue Moon stało się znośniejsze. Od kiedy pojawił się Arthur, Piran ani słowem nie wspominał o pójściu z nią do łóżka. Doszła do wniosku, że trzymanie dziecka na ręku było równie skuteczne, jak posiadanie broni gazowej.

Bujała teraz Arthura w ramionach i przyglądała się Piranowi siedzącemu przy komputerze. Chyba nie szło mu zbyt dobrze, ponieważ stale coś kasował, przesuwiał i kłął pod nosem.

Ale jedno nie ulegało wątpliwości - od czasu pojawienia się Arthura, pracował jak oszalały. Czy dlatego, że chciał szybciej dokończyć książkę, czy też - by uniknąć kontaktu z dzieckiem? Tak czy inaczej, wyglądał okropnie. Potrzebował odpoczynku, chociaż jednego wolnego popołudnia. Ale nie udawało się go przekonać.

- Musimy skończyć książkę, prawda? ~ warczał za każdym razem, gdy przypominała o wypoczynku.

Oczywiście, miał rację. Ale nie powinien pracować kosztem własnego zdrowia...

Szybko podjęła decyzję; weszła z Arthurem do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła butelkę z mlekiem i bez wahania wylała jej zawartość do zlewu.

- Skończyło się mleko - poinformowała Pirana, wchodząc do salonu.

- Nie ma już nic? - Piran zmarszczył brwi.

- Ani trochę. I nie wiadomo, czy Ruth je przywiezie. Pojadę do miasteczka i kupię.

- W porządku, jeśli zabierzesz Arthura.

- Jest prawie czterdzieści stopni w cieniu. Nie będę wlokła dziecka do miasta!

- W takim razie, pozwól, że ja pojadę.

- Nie. Chcę się przewietrzyć. Dasz sobie świetnie radę. - To mówiąc, posadziła mu Arthura na kolanach.

- Carly, na litość boską! - zawołał. - Nie widzisz, że pracuję?

- On ci pomoże. - Szybko wsunęła sandały i pomknęła w stronę drzwi.

- Zaczekaj!

- Do zobaczenia wieczorem! - zawołała przez ramię i zniknęła za drzwiami.

W malutkim Conch Cay wreszcie wyczuwało się świąteczną atmosferę. W sklepie warzywniczym Sutterów wystawa pokryta była białym sztucznym śniegiem. Na spadzistym, blaszanym dachu magazynu z elektroniką właściciel umocował sanki wykonane z części samochodowych, a budynek ratusza zdobiły rzędy kolorowych lampek.

Na dziedzińcu kościoła znajdowała się naturalnej wielkości szopka. Byli tam pasterze, trzej królowie, trochę zużyte i porysowane plastikowe owieczki i najprawdziwszy na świecie osioł, który na widok Carly na moment uniósł głowę, a potem wrócił do skubania trawy. Wokół kręciło się kilka

kurczą, w cieniu zaś rzucanym przez figury Marii i Józefa spał pies.

Brakowało tylko żłóbka z Dzieciątkiem Jezus. Ale wszystko wokół wskazywało na to, że go oczekiwano. I właśnie wtedy uświadomiła sobie jasno, że były to pierwsze święta Arthura - Nagle poczuła nieodpartą ochotę na tradycyjne świętowanie Bożego Narodzenia.

Oczywiście, Arthur nie będzie tych świąt pamiętał. Stwarzały jednak okazję do uroczystego powitania go na świecie, w rodzinie - nawet jeśli pojawił się w niej tak niespodziewanie. A może właśnie dlatego, że nikt go nie oczekiwał?

Uśmiechnęła się ponuro, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo zaczynało jej zależeć na Arthurze. Choć znała go zaledwie tydzień, już zdążyła się doń przywiązać. Na myśl o nieuchronnym rozstaniu z nim czuła przykry ucisk w sercu.

Do licha, przecież to dla niej żadna nowość. Wiele razy w życiu musiała rozstawać się z ludźmi, których kochała... To będzie tylko kolejny raz.

Piran nigdy w życiu nie czuł takiego brzemienia odpowiedzialności. Nigdy też nie czuł się tak bardzo nieudolny. Ani wtedy, gdy nie zdołał utrzymać małżeństwa swych rodziców, ani też gdy nie udało mu się odwieść ojca od ślubu z matką Carly. Nawet wówczas, gdy zginął Gordon...

Niby zdawał sobie sprawę, że nie ponosi za to wszystko żadnej odpowiedzialności, ale...

Natomiast bez wątpienia był odpowiedzialny za Arthura. Teraz i zawsze. W przeszłości, terażniejszości i przyszłości. Był przecież jego ojcem.

Nie chciał w to uwierzyć. Bóg wiedział, że nie chciał dziecka - nie zaplanowanego i nie oczekiwanego. Ale, co było bardzo dziwne, gdy już miał Arthura, doznawał uczuć, których całkiem się po sobie nie spodziewał.

Nie były to tylko oznaki zwykłego zainteresowania, jak przekonywał sam siebie na początku. Kryło się w tym coś żywiołowego i pierwotnego - coś, co go przerażało. Arthur przerażał go również.

Ale Arthur jednocześnie go fascynował. Był taki ruchliwy, taki radosny. Jego matka - Wendy, jak przypuszczał Piran - przewróciła mu świat do góry nogami, a jednak śmiał się, gaworzył i tulił do Carly, tak jakby to ona wydała go na świat.

Carly również się do niego przytulała.

Piran z przyjemnością obserwował ich oboje. Lubił patrzeć na Carly z dzieckiem na ręku. Lubił obserwować, jak pochyla się nad nim i zmienia mu pieluchy, jak go karmi i ubiera. Lubił słuchać, jak się do niego odzywa i uśmiecha, a Arthur odpowiada jej po swojemu. Wyglądało, jakby naprawdę się porozumiewali.

Popatrzył z uwagą na chłopca, którego trzymał w ramionach. Wreszcie zaniósł go na sofę i posadził w rogu, obłożony kolorowymi poduszkami. Arthur patrzył z ciekawością zarówno na poduszki, jak i na Pirana.

- Będziesz wrzeszczał? - spytał Piran nerwowo.

- Bie - odpowiedział Arthur, poklepując poduszkę.

- To prawda. - Piranowi oczy pojaśniały. - Ta jest niebieska, a tamta zielona. Potrafisz powiedzieć zielona?

- Na - powiedział Arthur. Chwycił róg poduszki i zaczął ssać.

- Jesteś geniuszem - ucieszył się Piran. - Potrafisz powiedzieć zielona i niebieska. Mój Boże! - I nagle przypomniał sobie, że nie ma Carly.

Był całkiem sam, z geniuszem.

- Chodź - powiedział, biorąc znów Arthura na ręce. - Zobaczymy, co jeszcze potrafisz powiedzieć.

Nosił dziecko po pokoju, pokazując mu lampę, szafę, krzesła i książki. Wreszcie wyszedł na zewnątrz, by mu

zaprezentować palmy, frangipani, drzewa chlebowe i bugenwille.

- Być może zostaniesz botanikiem - rozważał na głos. - Jeśli nie zechcesz być archeologiem, nie będę miał nic przeciw temu.

- Ga - powiedział Arthur. - Ta.

Piranowi oczy pojaśniały. Odsunął Arthura na długość ramienia.

- Powtórz to jeszcze raz - poprosił. - Mój Boże, chłopcze, chyba powiedziałaś „tato”!

Gdy Carly minęła zakręt, nadstawiła uszu, spodziewając się usłyszeć krzyk dziecka.

Ale słyszała tylko szum fal, śpiew ptaków i kumkanie żab pod drzewami mangrowymi. Przełożyła torbę z zakupami do drugiej ręki i weszła po schodkach na taras. Żaluzje okienne były opuszczone, drzwi otwarte. Carly cicho weszła do środka i rozejrzała się wokół. W salonie nikogo nie było.

- Piran? - spytała półgłosem. Nie otrzymała odpowiedzi.

Zniosła mleko do kuchni i ruszyła na poszukiwania.

Nie było ich na werandzie ani w małym ogródku na wprost podjazdu. Nikogo nie było również w pokoju dziecka. Ale na podłodze leżała brudna pielucha i śpiochy, które włożyła rano Arthurowi.

Zmarszczyła brwi i z powrotem przeszła przez salon. Otworzyła szerzej na wpół uchylone drzwi do sypialni Pirana.

Wtedy na jej ustach pojawił się błogi uśmiech.

Piran leżał na wznak na łóżku i spał. Arthur w samej koszulce i pieluszcze, z podkurczonymi nóżkami i palcem w buzi, spał równie mocno na nagiej piersi Pirana, który swym potężnym ramieniem mocno go obejmował.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Co tam niesiesz, na litość boską? - zawołał Piran, gdy podchodziła ścieżką. Obudził się, gdy wyszła po resztę zakupów i teraz stał na tarasie, patrząc na Carly lekko błędnym wzrokiem.

- To jest choinka - odparła, ciężko dysząc.

- Po co ją ze sobą ciagniesz?

- Na święta.

- Co takiego? - Zamrugnął oczami.

- To są szczególne święta. - Nie przyznała się, że próbowała o nich zapomnieć. - Gdy poszłam do miasteczka, uświadomiłam sobie, że powinniśmy je urządzić, przyniosłam więc drzewko. - Długie zdanie odebrało jej dech; przystanęła i oparła się o barierkę na dole schodów.

Piran patrzył na nią tak, jakby całkiem postradała rozum.

- Sosny, które o wiele bardziej przypominają tradycyjną choinkę, były za duże - wyjaśniła. - Wycięłam więc mniejsze drzewko...

- O czym ty mówisz, do diabła? - spytał ze zdziwieniem.

- Ben twierdzi, że każdy może wyciąć jedno z małych drzewek rosnących przy plaży. Powiedział mi gdzie, wracałam więc tamtą drogą i...

- I po prostu je ścięłaś?

- Ben pożyczył mi maczetę.

- A co z mlekiem? - przypomniał. - Poszłaś do miasteczka po mleko.

- Schowałam je do lodówki. Kupiłam też inne rzeczy. Prezenty pod choinkę dla Arthura...

- Poszłaś robić świąteczne zakupy? - Piran gapił się na nią szeroko otwartymi oczami. - Zostawiłaś mnie na cały dzień samego z dzieckiem i poszłaś po świąteczne sprawunki?

- Tak - oświadczyła hardo. - Doskonale dałam sobie radę beze mnie. Gdy wróciłam, obydwaj spaliście jak aniołki.

- Mogę mówić o szczęściu - wymamrotał, nagle zbity z tropu. - W każdym razie, czy nie uważasz, że mamy zbyt dużo pracy przy Arthurze i książce, by zawracać sobie głowę świętami?

- Nie uważam. Myślę, że święta są najważniejsze.

- Ważniejsze niż książka? - spytał poirytowany.

- Wiem, że zostały jeszcze dwa tygodnie, że jest mnóstwo czasu i że Arthur niczego nie będzie pamiętał...

Już otwierał usta, żeby się z tym zgodzić, ale Carly nie dała mu dojść do słowa.

- To wszystko prawda - ciągnęła. - On nie będzie pamiętał ani prezentów, ani świątecznej atmosfery, ale on ją wyczuje. Wiem, że tak. I później to będzie miało znaczenie, Piran. Gdy dorośnie, zechce się dowiedzieć, jak się u ciebie znalazł, jak to się zaczęło... Spyta, kiedy to było, a ty powiesz mu, że tuż przed świętami Bożego Narodzenia. I z pewnością będzie ciekawy, jak wyglądały jego pierwsze święta... I co mu wtedy odpowiesz? Że byłeś zajęty pisaniem książki i nie miałeś dla niego czasu? Że święta po prostu minęły niepostrzeżenie? Sądzę, że wolałbyś mu opowiedzieć, jakie to były radosne dni i jak je wspólnie świętowaliście... A więc widzisz, musimy stworzyć świąteczny nastrój, choćby z powodu Arthura! - Carly całkiem straciła oddech, przerwała i patrzyła na Pirana błagalnym wzrokiem.

- Mój Boże - wolno pokręcił głową - marnujesz się w wydawnictwie. Czy nigdy nie zastanawiałaś się nad prawniczą karierą? Byłabyś doskonałym, przekonującym adwokatem. Jakież niewiarygodny oratorski talent marnuje się w twojej osobie!

- Nie śmieję się ze mnie. - Czują, że policzki jej płoną.

- Wcale się nie śmieję. Mam diabelnie mało powodów do śmiechu i doskonale o tym wiesz.

Nie miała pewności, jak zinterpretować tę odpowiedź. Cały ich związek od samego początku był niezmiernie pogmatwany i rzeczywiście niewiele było powodów do śmiechu. Arthur jeszcze bardziej wszystko skomplikował.

A może przeciwnie - pojawienie się Arthura wyjaśniło wiele spraw? Być może dopiero teraz rzeczy ważne nabrały odpowiedniego znaczenia?

- Chcę obchodzić święta - powiedziała z uporem, patrząc prosto w ciemnoniebieskie oczy Pirana.

- A Carly dostaje wszystko, czego zechce, czy tak? - zadrwił.

Miała satysfakcję, że wytrzymała jego spojrzenie.

- Myślę, że znasz odpowiedź - powiedziała sucho. - Zresztą, mniejsza z tym. To już przeszłość bez znaczenia. Czy Arthur przysporzył ci dużo kłopotu? - Pospiesznie zmieniła temat.

- Na szczęście doskonale potrafi wyrażać swoje życzenia - odparł Piran z nieoczekiwanym uśmiechem na twarzy. - Czy wiesz, że on już mówi?

- Piran, on ma dopiero pół roku!

- Nie szkodzi. Zapewniam cię, że potrafi powiedzieć niebieska, zielona, dobry, a raz nawet powiedział... tata.

- Tata?

- No, wiesz - wzruszył ramionami, lekko zażenowany - on jeszcze nie potrafi wyraźnie wymawiać całego słowa, ale dałbym głowę, że właśnie to usłyszałem.

- Nie do wiary! - Carly pokręciła głową. - Czyżbyś wreszcie pogodził się z ojcostwem?

- Chyba tak. Przynajmniej do czasu, aż pojawi się inny ojciec.

To był krok naprzód. Mały - ale znaczący. Piran i Arthur zbliżali się do siebie. Oczywiście, mieli przed sobą jeszcze wiele kroków, ale byli na dobrej drodze do stworzenia

prawdziwej rodziny; Carly uśmiechnęła się do własnych myśli. Uśmiech ten miał w sobie odrobinę goryczy, ponieważ ona również pragnęła być częścią tej rodziny...

Och, była głupią, niepoprawną romantyczką - taką samą jak jej matka! Ciągłe wierzyła w szczęśliwe zakończenie!

„Trzeba żyć i kochać, żeby potem niczego nie żałować” - to była żelazna dewiza Sue. Sue próbowała kochać, i układała sobie życie aż siedem razy. A Carly, która zawsze uważała, że w niczym nie przypomina matki, nie potrafiła przestać kochać jednego mężczyzny, nawet jeśli on nie odwzajemniał tej miłości, a życie z nim miało potrwać jeszcze tylko dwa tygodnie. Zdawała sobie przecież sprawę, że będzie musiała odejść...

Cóż jej wtedy pozostanie? Tylko wspomnienia razem spędzonych, radosnych świąt Bożego Narodzenia... Ale choćby dlatego warto było nadać im uroczystą i piękną oprawę.

Zacząła od choinki. Musiała przyznać, że nie była szczytem doskonałości. Piran powiedział, że przypomina miotłę.

- I gdzie zamierzasz ją postawić? - spytał, wnosząc choinkę do salonu.

- Może przy oknie? - zawahała się. - Nie wiem. To twój dom...

- Miło, że to zauważyłaś - powiedział sucho. Oparł drzewko o ścianę. - Nie kupiłaś oprawki, jak sądzę?

- Do licha, zapomniałam! - Patrzyła na Pirana z wyraźnym zakłopotaniem. - Wrócę do miasteczka i zapytam w sklepie z gospodarstwem domowym...

- Ani się waż! - zaprotestował. - Zapominasz, że mamy książkę do skończenia.

- Ale choinka...

- Nie martw się - przerwał łagodniejszym tonem, przesuając dłonią po włosach. - Zajmę się tym.

- Naprawdę? - Patrzyła na niego z wdzięcznością i nadzieją.

- Obiecuję - zapewnił. - Ale teraz zabierzmy się do pracy. Przed południem nic nie zrobiłem...

- Za to lepiej wyglądasz i z pewnością lepiej się czujesz.

- Co to znaczy? - Spojrzał na nią podejrzliwie. - Cudowna kuracja doktor O'Reilly?

- Tak. - Carly stłumiła uśmiech. - A teraz doktor O'Reilly mówi, że powinniśmy zająć się dekorowaniem choinki.

- Doktor O'Reilly lepiej robi, zajmując się siódmym rozdziałem - rzekł poważnie.

Zrozumiała, że nie było sensu nalegać. Ale nie potrafiła się powstrzymać przed włączeniem kasy z kolędami, którą kupiła w miasteczku.

- Działanie na podświadomość? - Piran uniósł pytająco brwi, gdy pierwsze znajome takty rozległy się w pokoju. Przez chwilę przyglądał się uśmiechniętej Carly, potem powiedział: - To naprawdę tak wiele dla ciebie znaczy?

- Tak - wyznała szczerze.

Gdy Arthur się obudził, Carly musiała się nim zająć, ponieważ Piran z zapamiętaniem uderzał w klawiaturę. Po zmianie pieluszki wróciła z nim do salonu. Wyglądał na zadowolonego i wypoczętego; najwyraźniej poranek spędzony z Piranem dobrze mu zrobił.

Śmiał się w głos, gdy tańczyła z nim po pokoju w rytm melodii „Śniegowy bałwanek”. Piran odwrócił głowę i obserwował ich w milczeniu. Carly wyciągnęła rączkę Arthura w zapraszającym geście.

- Chcesz z nim zatańczyć? - zaproponowała.

- Zatańczę z tobą - powiedział nieoczekiwanie.

- Już mam partnera, dziękuję.

Nastąpiła chwila ciszy, nim rozległy się dźwięki następnej melodii „Czyje to dziecko?”. Gdy Carly znów ruszyła w tan, Piran wstał i podszedł do nich.

Chwycił ją za rękę; poczuła stanowczy, ciepły uścisk jego palców. Potem otoczył ją ramieniem i z Arthurem pośrodku zaczęli tańczyć. Ponad głową dziecka patrzyli sobie w oczy. W spojrzeniu Pirana było ciepło, pożądanie i coś jeszcze... może zdziwienie, zaintrygowanie, jakby sam nie znał jeszcze odpowiedzi.

Gdy przebrzmiały ostatnie takty, zatrzymali się pod jemiolą. Z oczami utkwionymi w Carly Piran pochylił się i delikatnie pocałował Arthura w czubek głowy.

- Pocałunek to za mało, Carloto - powiedział zdyszczanym głosem.

Za mało, miała ochotę potwierdzić, ale odrzekła po prostu:

- Tak musi być.

- Na razie - powiedział.

Tego dnia, gdy nadeszła spóźniona poczta i Piran wyszedł, aby ją przynieść, Carly wstrzymała oddech w nagłym napięciu. Czyżby naprawdę żywiła nadzieję, że nadejdzie list od Wendy? A może przeciwnie - wolała, by nigdy nie nadszedł?

Gdy Piran wrócił z pocztówką, kilkoma listami od przyjaciół i nowym numerem pisma o archeologii śródziemnomorskiej, odetchnęła z ulgą.

Pokazał jej pocztówkę od Desa; pochodziła z Fidżi i przedstawiała kąpiącą się piękność. Carly usiłowała odczytać niestaranne, pospieszne pismo.

Jak dotąd jest wspaniale; jutro spotykam się z Jimem i resztą załogi i wyruszamy w nieznane. Odezwę się za dwa tygodnie, a na razie się nie pozabijajcie - ani mnie, gdy wrócę! Wesółych Świąt i mnóstwa radosnych niespodzianek. Pozdrowienia.

Des

- Radosna niespodzianka? - mruknęła Carly pod nosem, uśmiechając się do Arthura, którego trzymała na kolanach. - Ale Des będzie zdziwiony! - Arthur posłał jej całkiem poważne spojrzenie. - Jesteś niezwykle miłą niespodzianką - zapewniła go i pocałowała w nos. Zaczął mrużyć powieki, a po kilku minutach zapadł w sen. Carly zamiast położyć go do łóżeczka, wsłuchiwała się jeszcze w czarowne dźwięki kolędy i rozmyślała nad przyszłością Arthura.

Słyszając niespodziewany odgłos, podniosła wzrok i zobaczyła Pirana stojącego w kuchennych drzwiach i przyglądającego się jej w zamyśleniu. Czy to możliwe, żeby znów widziała w jego oczach pożądanie?

- On śpi? - spytał szeptem, Carly przytaknęła.

- A więc połów go do łóżka.

A potem przyjdź do mnie... Nie musiał głośno wypowiadać tych słów; widziała namiętne, gorące pożądanie na dnie jego płonących oczu...

Ale co by jej potem zostało?

Wspomnienia, podpowiadało serce. Miałabyś piękne wspomnienia... I one musiałyby wystarczyć. Ale, czy by wystarczyły? Czy by zrównoważyły ból rozstania?

- Nie teraz - powiedziała.

Spojrzenie, którym ją obdarzył, było długie, natarczywe i przepełnione goryczą. Potem odwrócił się i wyszedł.

Pragnęła go. Jakże bardzo go pragnęła! A jednak powiedziała - nie. Znowu. Dlaczego?

Czy naprawdę tak bardzo zależało jej na małżeństwie? Gdy mając osiemnaście lat użyła tego argumentu, uznał, że idzie w ślady swej matki. A teraz... ?

Powinien pracować. Ale nie mógł skupić myśli na karaweli. Powinien pisać. Ale nie potrafił sklecić kilku słów.

Przychodziło mu na myśl tylko jedno słowo - Carly. Pisał je na ekranie komputera. I kasował. A potem jego palce, jakby bezwiednie, wystukiwały je znów.

Miał na jej punkcie taką samą obsesję jak dziewięć lat temu. Nic nie uległo zmianie. Tylko że teraz nie mógł zrzucić wszystkiego na karb młodości.

Po prostu pragnął Carly O'Reilly.

Odkrył jednak coś więcej - pragnął bliżej poznać i zrozumieć Carly O'Reilly.

Nie potrzebowała mężczyzny, aby ją utrzymywał, tak jak jej matka. Posiadała zawód i - musiał przyznać - była w nim dobra. Nie potrzebowała również mężczyzny dla podkreślenia własnej wartości. Była jej świadoma i pewna.

Doskonale zajmowała się Arthurem.., Z początku myślał, że z dzieckiem na ręku nie będzie jej do twarzy. Ale się pomylił. W tym wydaniu była jeszcze bardziej fascynująca. Do licha! Doprowadzała go do szału!

Usłyszał, jak kładzie Arthura do łóżka. Z pewnością pójdzie teraz na spacer... Ale ona wróciła do kuchni i zaczęła się krzątać przy garnkach. Słyszał, że nuci pod nosem kolędy.

Znów usunął jej imię z ekranu. Próbował skupić myśli i nadać sens opracowywanym notatkom. Bezskutecznie.

Z kuchni zaczął dolatywać kuszący zapach świątecznych wypieków.

Piran wstał i ruszył do kuchni, gdzie Carly, pochylona nad piekarnikiem, wyjmowała blachę z ciasteczkami.

- Delikatna forma sugestii? - spytał, mocno ściskając gałkę od drzwi.

- Wcale nie zamierzałam... - Uśmiechnęła się lekko. - Nawet mi się nie śniło, że kiedykolwiek zechcę podtrzymać tradycję.

- Tradycję?

- To przepisy mojej matki - wyznała. - Piekła takie ciasteczka na każde Boże Narodzenie, niezależnie od okoliczności, w jakich je spędzałyśmy. Miała wewnętrzną potrzebę podtrzymywania tradycji, „podtrzymywania nadziei”, jak to nazywała. - Na ustach Carly błąkał się czuły, pełen zadumy uśmiech. - Ostatnie święta, które spędzałyśmy z Rolandem i jego córkami, były właśnie takie, o jakich zawsze marzyła... Świętowaliśmy je w rodzinnej atmosferze przepełnionej szczęściem i miłością. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zechcę sobie o nich przypomnieć. Tak wiele straciłam... - Przerwała, wytarła kącik oka i znów się uśmiechnęła. - A jednak myliłam się. Nadal mam nadzieję. I chciałabym dzielić ją z Arthurem. Być może zachowa w pamięci zapach swych pierwszych świąt Bożego Narodzenia. - Głos uwiązł jej w gardle. - Przepraszam, rozczuliłam się trochę. To taka pora roku.

Piran patrzył na nią i nic nie mówił. Pod wpływem tego spojrzenia poczuła się dziwnie nieswojo.

- Mniejsza z tym, Piran - usiłowała zbagatelizować własne słowa. - Spróbuj ciasteczek, gdy wystygną. Mogłeś nie lubić mojej matki, ale zapewniam cię, że piekła wyśmienite ciasteczka.

- Masz rację - przytaknął, potem nagle odwrócił się. - Idę na spacer - powiedział.

- Uważaj, jest potworny upał - próbowała go ostrzec. Być może... Ale o wiele groźniej było stać tutaj, obok niej i walczyć z przemożną chęcią wzięcia jej w ramiona, przytulenia i ucałowania...

Szedł wolno po różowym piasku, próbując stłumić trawiący go ogień. Przywoływał na pomoc rozsądek, wysilał się na obiektywizm. Przecież romans z Carly O'Reilly był naprawdę ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował...

Skomplikowałby sobie życie i tak już wystarczająco pogmatwane...

Gdy wyłonił się zza cypla, zobaczył Carly taplającą się przy brzegu z Arthurem. Rozsądek znów diabli wzięli. Sam jej widok podziałał na niego jak wstrząs elektryczny. Zapragnął jej z niespotykaną siłą. Tu i teraz.

Carly, zauważywszy go, pomachała ręką.

- Ciasteczka już wystygły - zawołała.

W odpowiedzi tylko uniósł dłoń; nie odezwał się nawet, gdy podszedł bliżej, a ona znów się uśmiechnęła.

- Ciasteczka już wystygły - powtórzyła.

- Ale nie ja - wyszeptał i nie czekając na odpowiedź, rzucił się do wody.

- Dokąd płyniesz? - zawołała za nim.

Nie odpowiedział, tylko miarowo przecinał rękami fale. Dopiero gdy dotarł do rafy, przewrócił się na plecy i popatrzył na kobietę z dzieckiem stojącą na brzegu. Carly obserwowała go intensywnie; choć odpłynął zbyt daleko, by mógł dostrzec wyraz jej twarzy, wyczuł, że była zaniepokojona. Czyżby o niego? Czy myślała, że zamierza się utopić? Albo stoczyć walkę z barrakudą?

Do licha, czy on ją w ogóle obchodzi? Być może, tak...

Przez ostatnie kilka dni obserwował ją i ze zdziwieniem doszedł do wniosku, że nie była zakłamaną manipulantką, za jaką zawsze ją uważał. Ona naprawdę wierzyła, że małżeństwo jej matki z jego ojcem było związkiem z miłości! Gdy ojciec umierał, była przy nim... On nie. Uparty, bezwzględny, do końca przekonany o swej racji. Nie pojechał nawet na pogrzeb ojca!

O Boże, jakim był upartym, zarozumiałym moralistą!

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że również Desem usiłował kierować; skłaniał go do pisania, podejmowania

wypraw badawczych, odciągał zaś od żeglowania i tego wszystkiego, co naprawdę sprawiało bratu przyjemność.

Wreszcie Des zbuntował się, popłynął na Fidżi i zostawił go samego z książką. No, nie całkiem samego - przysłał mu Carly do pomocy.

I znów myśli Pirana wróciły do Carly.

Przyglądała mu się teraz w taki sposób, jakby... czuła się odpowiedzialna za jego bezpieczeństwo. I trzymała na ręku Arthura. Za dziecko zaś on powinien czuć się odpowiedzialny. W dodatku pracowała nad książką. Jego książką. Zrezygnowała z przerwy świątecznej, by zająć miejsce Desa i wykonać za niego pracę...

Ciekawe, kiedy po raz ostatni ktoś dla niej się poświęcił? - przemknęło Piranowi przez myśl.

Arthur, widząc zbliżającego się Pirana, zaczął się tak wiercić, że Carly miała kłopoty z utrzymaniem go na rękach.

- Uważaj, maleńki - ostrzegwała. - Bądź grzeczny.

- Daj mi go. - Piran wyciągnął ręce po Arthura.

- Naprawdę chcesz? - spytała z wahaniem. Piran bez komentarza wyjął jej dziecko z ramion.

- Idź sobie popływać - zasugerował. - My z Arthurem popatrzymy.

Carly posłała mu zdziwione spojrzenie, jakby nie potrafiła zrozumieć nagłej metamorfozy.

- Widzę, że oswoiłeś się już z rolą ojca - powiedziała z życzliwym uśmiechem.

- Być może.

- Nie powinnam teraz pływać - powiedziała po chwili namysłu. - Jeśli zajmiesz się Arthurem, wrócę do domu i popracuję. - Odwróciła się i zaczęła iść w stronę schodów.

- Zaczekaj!

Przystanęła i odwróciła głowę.

- Zostań z nami. - To zabrzmiało jak rozkaz, choć starał się mówić łagodnie. Uniósł kącik ust w krzywym uśmiechu. - Jeśli odejdziesz tak nagle, Arthur pomyśli, że go porzuciłaś. On chce cię obserwować.

- A może to raczej ty chcesz? - rzuciła mu wyzwanie.

- Nic na to nie mogę poradzić - przyznał, lekko zaciskając wargi; wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

- Pójdę popływać, ale na krótko - zastrzegła. - A potem naprawdę muszę wracać i dokończyć ten kawałek, nad którym pracowałam, zanim Arthur się obudził.

- Należy ci się odpoczynek - przekonywał Piran.

- Pracuję teraz nad rozdziałem o odkryciach i datowaniu znalezisk - powiedziała, ignorując uwagę Pirana. - Idzie mi świetnie.

Piran chrząknął z powątpiewaniem.

- Naprawdę - przekonywała. - Gdy czytelnik się wciągnie, będzie czytać tę książkę jak kryminał.

- Nasze podwodne poszukiwania naprawdę przypominały kryminalną historię. Gdy wydobyliśmy to stare działo podobne do tych, które wyrabiano wówczas w Holandii, łamaliśmy sobie z Desem głowę, jakie okoliczności sprawiły, że właściciele hiszpańskiej karaweli zakupili holenderskie armaty... - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Przepraszam, niepotrzebnie tyle mówię...

- To niezwykle interesujące - zapewniła. - Naprawdę. Zawsze chciałam... - Urwała nagle.

- Co chciałaś?

- Nic. - Odwróciła się i zaczęła zanurzać się w wodzie.

- Nieważne. Idę popływać.

Piran poszedł za nią.

- Piran! - zaprotestowała. - Zatrzymaj się. Arthur się przestraszy.

- Nic podobnego, prawda, kochanie? - zwrócił się do chłopca.

Woda sięgała już im do pasa, a nadciągały większe fale. Oczy Arthura zrobiły się ogromne jak spodki; zacisnął kurczowo rączki na ramionach Pirana, ale z wrażenia nawet nie pisnął.

- Powiedz, co takiego chciałaś, Carly? - nalegał Piran.

Carly wzruszyła ramionami, unosząc się na fali.

- Naprawdę nieważne - powtórzyła. - Drobiazg. - Powoli obróciła się i popłynęła przed siebie.

Piran wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.

- Proszę, powiedz.

- Bardzo chciałam też ponurkować - wyznała w końcu.

- Widzisz, nic wielkiego.

- Masz na myśli poszukiwania archeologiczne?

- W ogóle chciałabym ponurkować w morzu. Nigdy dotąd nie nurkowałam... Nie licząc basenu w Nowym Jorku, oczywiście. - Zawahała się, a potem powiedziała: - Gdy pomagałam Sloanowi przy redagowaniu waszej ostatniej książki, zapisałam się na kurs dla płetwonurków. Pomyślałam, że ta umiejętność pozwoli mi lepiej zrozumieć opisywane w książce...

- W porządku - przerwał jej impulsywnie. - Zabiorę cię na podwodną wyprawę.

- Daj spokój, karawela znajduje się daleko stąd - zaczęła protestować. - A poza tym nie mamy czasu i...

- Nie mówię o tamtej karaweli - wyjaśnił. - Niedaleko stąd, tuż za cyplem - pokazał kierunek północny - leży wrak z czasów wojny o niepodległość. Żadne cudo, ale wszyscy wiedzieli, że właśnie tu powinien być, więc został znaleziony. Jak na pierwszy raz, po to tylko, byś poczuła przygodę, wystarczy. Masz skończony kurs nurkowania?

- Tak, ale... Nie zapominaj, że nie mamy czasu!

- Znajdziemy czas - zapewnił z ożywieniem.
- Ale Arthur...
- Znajdziemy mu opiekunkę. Poproszę Ruth, żeby kogoś znalazła.
- Daj spokój, Piran!
- Ale przecież masz na to ochotę, prawda?
- Odkąd to ma dla ciebie znaczenie? - zdziwiła się.
- Od niedawna. - Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - A poza tym, uważam, że dzięki temu lepiej zredagujesz książkę.
- Wątpię...
- Och, Carly, nie spierajmy się! - powiedział, nie kryjąc entuzjazmu. - Jeden leniwy poranek nam nie zaszkodzi. Co powiesz na jutro? - Widząc jej wahanie, uśmiechnął się złośliwie. - Tchórzysz?
- Nie jestem tchórzem! - zaperzyła się, a twarz jej oblał rumieniec.
- A więc udowodnij - wybuchnął szczerym śmiechem.
- Musiałaś naprawdę o tym marzyć, skoro zrobiłaś kurs. Spójrz mi w oczy i powiedz, że tego nie chcesz, Carloto.
- Ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w jej twarz, rzucając wyzywające błyski.
- Carly z westchnieniem położyła się na fali.
- Jeśli załatwisz opiekunkę do dziecka, zgoda - powiedziała, pewna, że w gorączkowym okresie przedświątecznym to mu się nie uda.
- Ale jeszcze tego samego wieczoru, gdy Ruth przyniosła im kolację, zakomunikował triumfalnym tonem:
- Kuzynka Ruth, Mirabelle, zajmie się Arthurem. Musimy go tylko podrzucić wczesnym rankiem.
- Podrzucić?
- Roześmiał się, rozumiejąc, do czego Carly robi aluzję.

- Skoro wytrzymał lądowanie w koszyku na mojej werandzie, z pewnością doskonale zniesie krótką wycieczkę do miasta.

Carly, mimo zapewnień Pirana, nie mogła pokonać niepokoju. Czowała się odpowiedzialna za Arthura i w gruncie rzeczy nie chciała powierzyć go obcej osobie.

- Czy ona ma odpowiednie kwalifikacje? - spytała.

- Sześcioro własnych dzieci daje chyba pewne doświadczenie, nie sądzisz? - odparł z uśmiechem.

Carly musiała się poddać. Było stanowczo za późno na zmianę zdania. Ale dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, jakim szaleństwem było nurkowanie z Piranem! Ta wyprawa niczego dobrego nie przyniesie... Dowie się tylko, czym mogłoby być jej życie, gdyby Piran ją kochał i wiele lat temu ją poślubił... A ona przecież nie chciała tego wiedzieć!

Och, Boże! Przecież naprawdę chciała popłynąć z Piranem. To być może będzie najmiłszym wspomnieniem jej życia...

Gdy położyła Arthura spać i usiłowała skupić się nad kolejnym rozdziałem, była tak pochłonięta swoimi myślami, że nawet nie zauważyła, czym zajął się Piran. Gdy więc nieoczekiwanie dobiegł z tarasu głuchy dźwięk, nerwowo uniosła głowę. Ku swemu zdumieniu zobaczyła Pirana wnoszącego po schodach duże wiadro.

- Co robisz? - spytała zaskoczona.

- Oprawiam choinkę. - Podźwignął kubel i wniósł go do salonu. - Chodź tutaj i potrzyмай drzewko!

Kubel był w połowie napełniony piaskiem; Piran przykucnął, umieścił pośrodku choinkę i zaczął jej pień obkładać kamieniami. Na zakończenie dosypał piasku do pełna.

Carly obserwowała w oszołomieniu grę mięśni na jego karku; ciemne włosy Pirana dotykały jej gołych nóg. Jakże był

blisko... Cofnęła się nieco, ale nie mogła zbyt się oddalić, nie puszczając drzewka.

Wreszcie skończył, wyprostował się i powiedział:

- Wyciągnij rękę.

Popatrzyła na niego zdziwiona, ale wykonała polecenie. Sięgnął ręką do kieszeni, a potem położył na jej dłoni dwa kawałki wypolerowanego szkła - czerwony i niebieski.

- Znalazłem podczas zbierania kamieni - wytłumaczył z dziwnym uśmiechem na ustach. - Pamiętam, że podobało ci się takie szkiełko dawno temu... Pomyślałem, że być może te też ci się spodobają.

- Dziękuję - powiedziała ze ściśniętym gardłem. Była naprawdę wzruszona.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę w milczeniu, z dziwnym przejęciem, jakby ogłuszeni nagłą błyskawicą wspomnień. Tak wiele mieli sobie do powiedzenia, ale żadne się nie odezwało.

- A teraz woda - zarządził nagle Piran i poszedł ją przynieść.

Carly patrzyła za nim, mocno zaciskając palce na gładkich - odłamkach szkła. Przez wszystkie te lata pieściła w wyobraźni rozmaite wspomnienia chwil spędzonych kiedyś z Piranem; widziała rzeczy i obrazy z fotograficzną wręcz dokładnością. Jednak nigdy nie sądziła, że on także będzie je pamiętał...

Jak to się stało, że Piran zapamiętał tamto szkiełko...?

Wrócił po chwili z kubłem pełnym wody. Dodał jeszcze trochę piasku i podlał drzewko.

- Gotowe! - pochwalił się, kiwając głową z satysfakcją. - Nie powinna się przewrócić. Jak ci się podoba?

- Wspaniała - powiedziała, nadal czując oszołomienie. Przez krótką chwilę patrzyła Piranowi w oczy. - Dzięki - dodała.

- Kupiłaś lampki?

- Och... oczywiście. - Zmusiła mózg do ponownej pracy. Podeszła do torby ze sprawunkami, którą zostawiła na kuchennym blacie, i wyjęła z niej trzy sznurki kolorowych lampek. Gdy chciała je podać Piranowi, niespodziewanie pokręcił głową.

- Wykonałem swoją robotę - oświadczył. - Teraz twoja kolej. - Po czym odwrócił się sprężyście i zasiadł przed komputerem.

Przez długą chwilę stała z lampkami w ręce i patrzyła na ciemną głowę Pirana osadzoną na szerokich ramionach. W jej własnej huczał wir niespokojnych myśli.

Czuł do niej tylko pożądanie, powtarzała sobie. Pożądanie i namiętność. Pragnął jej - i nic ponadto. Może jeszcze chciał mieć dobrą redaktorkę... No, i opiekunkę do dziecka.

Ale dlaczego pamiętał o szkiełku?

Dlaczego zaproponował jej wspólne nurkowanie? I znalazł czas na ustawienie choinki...

O Boże, musi przestać o tym myśleć! To beznadziejne. Całkiem beznadziejne.

Przypominała ćmę krążącą wokół płomienia - zauroczoną, zafascynowaną ćmę, która doskonale wie, co ją czeka, gdy ośmieli się podfrunąć bliżej...

Wzięła się w garść i zawiesiła lampki na choince. A później, nie mówiąc nawet dobranoc, poszła do łóżka. Nie mogła jednak zasnąć.

Nie spała jeszcze, gdy dwie godziny później podszedł i zatrzymał się pod drzwiami jej sypialni. Leżała bez ruchu, wstrzymując oddech.

Czego właściwie chciała? Czyżby miała nadzieję...?

Usłyszała kroki, gdy odchodził spod drzwi, potem skrzypienie sprężyn, gdy kładł się do łóżka.

Powinna odetchnąć z ulgą. Powinna być zadowolona, że uszanował jej wolę...

Oczywiście, że była zadowolona. Z całą pewnością.

A jednak - cóż za przewrotność! - gdy stało się zgodnie z jej życzeniem, poczuła się jeszcze gorzej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mirabelle oświadczyła, że Arthur jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała.

- Nie martwcie się o niego. Wszystko pójdzie dobrze, prawda? - zwróciła się do Arthura, który uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem.

- Myślę, że ją polubił - powiedziała Carly do Pirana, kiedy jechali do portu.

- Czy to źle? - Rzucił jej zaintrygowane spojrzenie.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła, ale czuła się dziwnie poirytowana.

- Czyżbyś była o nią zazdrosna?

Popatrzyła na niego ze złością, ponieważ bezbłędnie odczytał jej myśli.

- Odpreż się - Uspokoił ją z pobłażliwym uśmiechem. - Na pewno wszystko dobrze się ułoży. Chodźmy już! - Niespodziewanie chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w dół wzgórza. - I nie rozmyślaj o Arthurze. Lepiej pomyśl, że za chwilę wspaniale spędzisz czas, realizując swoje marzenie.

I tego również się domyślił... Zastanawiała się nad tym jeszcze godzinę później, gdy wolno opuszczała się obok Pirana na dno morza w kierunku starego wraku. Widziała go na razie z pewnej odległości przez tafelę przezroczystej jak kryształ wody.

Odkąd poznała St Justów marzyła o takim właśnie dniu - dniu, w którym będzie nurkować razem z Piranem, dzielić z nim wrażenia z podwodnego świata.

I rzeczywiście płynął tuż obok, wysunięty do przodu na długość połowy ciała. Widziała jego ciemne włosy wystające spod gumowego paska od maski, którą miał na głowie. Właśnie wyciągnął rękę i pokazał ławicę lśniących, mieniących się wszystkimi barwami tęczy niebieskich rybek.

Wszędzie, gdzie tylko spojrziała, tętniło życie. Były tu ryby, koralowce, gąbki oraz wielka różnorodność wodorostów i anemonów. .. Chyba tak się nazywały, o ile dobrze pamiętała? Po powrocie do domu musi poczytać o tym zadziwiającym podwodnym świecie, który teraz był w zasięgu jej ręki.

Piran dał jej znak, a potem podpłynął bliżej wraku, porośniętego grubą warstwą koralowców. Jego widok nie wzbudzał dreszczyku emocji, ponieważ wszystkie archeologiczne znaleziska dawno zostały zeń wydobyte. Carly zdawała sobie z tego sprawę, a mimo to czuła podniecenie.

Statek spoczywający na dnie morza w miejscu, gdzie zatonął wiele lat temu, stanowił teraz część naturalnego, podwodnego świata. Carly była zaskoczona jego niewielkimi rozmiarami. Gdy myślała o statkach, zawsze miała przed oczami potężne, gigantyczne liniowce takie jak „QE II” lub „Queen Mary”. Być może ulegała optycznemu złudzeniu, ale wydawało jej się, że statek ten był nie większy od szalupy ratunkowej liniowca „QE II”.

Ale przede wszystkim była tutaj z Piranem...

Dla wytrawnego archeologa taka wyprawa z pewnością nie była pasjonującym przeżyciem, ale Piran nie dał niczego po sobie poznać, przeciwnie - sprawiał wrażenie niezwykle przejętego. Raz po raz wskazywał pewne fragmenty statku i na migi usiłował objaśnić ich przeznaczenie.

Dwa razy chwycił dłoń Carly i przyciągnął ją bliżej, by mogła zobaczyć jakiś szczegół. Carly radowała się w duchu i chłoneła wszystkie nieme wyjaśnienia z zapartym tchem.

Nie chciała się wynurzyć nawet wówczas, gdy Piran dał do zrozumienia, że w zbiornikach zaczyna kończyć się tlen.

Dopiero gdy wydostała się na łódkę, po raz pierwszy pomyślała o Arthurze. Ale ta myśl trwała nie dłużej niż sekundę, ponieważ jej uwagę znów przykuł mężczyzna, z którym przed chwilą nurkowała.

Piran przy pomocy Bena zdejmował właśnie kombinezon. Nagle łodzią zakołysało, Carly zachwiała się niepewnie, ale Piran zdążył ją chwycić wpół i dłuższą chwilę nie wypuszczał z ramion.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Doskonale - zapewniła go, nie ukrywając entuzjazmu. - Cudownie. - Musiała go poinformować, jak wiele ta Wyprawa dla niej znaczyła. - Było fantastycznie!

- To prawda - uśmiechnął się szeroko.

- Za długo byliście na dole - narzekał Ben.

- Przepraszani - odparł Piran, siadając na dnie łodzi i pociągając za sobą Carly.

Carly nie dosłyszała w jego głosie żalu. Sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, jakby cieszył się z tej wycieczki tak samo jak ona. Chociaż, oczywiście, to nie było możliwe... Tak czy owak, gdy płynęli z powrotem do przystani, czuła zawrót głowy ze szczęścia.

- Opowiedz mi jeszcze raz dokładnie, co widzieliśmy na dole - poprosiła. - Pokazywałeś mnóstwo rzeczy, ale nie wszystko zrozumiałam.

Zaczął od początku wyjaśniać. Carly słuchała w skupieniu. Jeśli czegoś nie rozumiała, zadawała dodatkowe pytania. Być może, zdradzając ignorancję, robiła z siebie idiotkę. Ale naprawdę chciała wiedzieć. Chciała wiedzieć tyle samo co on.

Uniosła twarz, poddając ją pieszczocie łagodnego, tropikalnego wiatru. Grudniowe słońce lekko przygrzewało. Ale twarde, porośnięte czarnymi włosami udo Pirana przyciśnięte do jej uda promieniowało jeszcze większym ciepłem. Wiedziała, że powinna się odsunąć. A jednak...

To była tylko fantazja, pozory. Nierzeczywista sytuacja jak z pięknego snu... Dopóki wiedziała, że ta intymność pozostanie ulotnym wspomnieniem, nie miała zamiaru się odsuwać. Mogła się cieszyć chwilą.

Czyż nie?

Wspólna podwodna wyprawa coś zmieniła. To stało się niemal natychmiast. Carly go oczarowała.

Oczywiście, zawsze pozostawał pod jej czarodziejskim urokiem... Jej długie nogi, smukłe ciało i ten szelmowski uśmiech intrygowały go od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Ale dziś nie tylko tym się zachwyił.

Oczywiście, podobała mu się czułość, jaką okazywała Arthurowi, staranność i zapał, z jakim przystąpiła do redagowania książki, jak również entuzjazm, z jakim oczekiwała nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. A dziś na dodatek oczarowała go jej fascynacja nurkowaniem.

Zabierał już wiele kobiet o długich nogach i pięknych oczach na takie wyprawy. Wykazywały jednak tylko powierzchowne zainteresowanie statkiem, o wiele zaś większe nim samym.

Ale Carly była inna. Okazała rzeczowe, profesjonalne zainteresowanie. Uważnie za nim podążała, zachowując przez cały czas fizyczny dystans. Nie dotknęłaby go ani razu, jeśli sam nie wyciągnąłby ręki. A po wynurzeniu się na powierzchnię zasypała go gradem konkretnych, dociekliwych pytań. Piran na ogół nie lubił opowiadać o nurkowaniu i archeologii podwodnej. Bał się, że zanudzi słuchaczy. Czuł jednak, że Carly nie była znużona jego wywodem.

- Niedaleko stąd jest tunel podwodny dla turystów - powiedział, gdy skręcili w uliczkę, przy której stał dom Mirabelle. - Powinnaś go zobaczyć. Spodobałoby ci się.

- Z pewnością - przyznała z błyszczącymi oczami. Zabiorę cię tam, chciał powiedzieć. Zrobimy sobie wolny dzieli. Tylko ty i ja.

Ale nic już nie powiedział. Nie mieli czasu na kolejną eskapadę. Tylko że on tak bardzo tego chciał...

Chciał dzielić z nią wszystkie wrażenia, pokazać jej dziwy natury, zobaczyć, jak oczy jej się rozświetlają, jak się cieszy...

Stracili dziś cały poranek, który powinni poświęcić pracy. Ale Piran był zadowolony.

Ale co będzie, gdy skończą książkę? - rozmyślał. Carly z pewnością wróci do Nowego Jorku, on zaś wyjedzie na kolejną wyprawę do Grecji... Bardzo prawdopodobne, że już nigdy nie zobaczy Carly O'Reilly.

Na myśl o tym ogarnęło go dziwne uczucie pustki.

Dochodzili już do bramy domu Mirabelle, gdy niespodziewanie Piran poczuł przymus poruszenia drażliwego tematu. Nie sądził, że kiedykolwiek zechce o tym rozmawiać z Carly.

- Pamiętasz... - zaczął niepewnie - twoje urodziny dziewięć lat temu?

Carly raptownie odwróciła głowę. Wyglądała jak ptak, który zobaczył jastrzębia.

- O co chodzi? - spytała, nerwowo przełykając ślinę. Gdy poruszył już ten temat tabu, nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Pochylił głowę, potem znów ją uniósł, aby spojrzeć Carly w oczy.

- Zachowałem się wówczas jak głupiec... To, co powiedziałem. .. - Przerwał, by po chwili ponownie przemówić ściszym, niewyraźnym głosem: - Byłem idiotą, Carly. W dodatku, gdy tu przyjechałaś, pomyślałem to samo...

Carly nie odezwała się; jej oczy były tak wielkie i okrągłe jak hiszpańskie dublony.

- Nie wiem, jak mam się przed tobą usprawiedliwić - powiedział głuchym głosem, czując, że krew zalewa mu policzki. - Czy mam zapewniać, że byłem młody, głupi i zarozumiały? Ze nie ufałem kobietom? Nawet młodym i naiwnym dziewczynom? Do diabła, nie mam pojęcia. Musisz sama wybrać.

Carly na wzmiankę o młodych i naiwnych kobietach skrzywiła się lekko. Nim się odezwała, nerwowo przełknęła ślinę.

- Domyślam się, że małżeństwo twojego ojca z moją matką było dla ciebie prawdziwym szokiem - zaczęła wolno i z namysłem.

- Była całkiem inna niż on, niż my wszyscy! - przerwał jej gorączkowo. - Wiedziałem, że moi rodzice nie żyli w zgodzie, wiedziałem, że matka porzuciła ojca dla innego mężczyzny. Ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że mój ojciec zakocha się w... - Urwał zakłopotany.

- W kimś takim jak moja matka - odpowiedziała Carly bezbarwnym tonem, tłumiąc gwałtowny ból w sercu.

- W kimś tak różnym od niego - uzupełnił Piran posepnie.

- Moja matka była dystygowana, chłodna i elegancka; sądziłem więc, że ojciec gustuje w takich właśnie kobietach. I potem nagle poznał twoją matkę, a ona przecież była...

- Pospolita? - spytała Carly. - A może żywiołowa, albo lekkomyślna?

- Nie mogłem ojca zrozumieć... Zrobiłem się podejrzliwy. Ale teraz myślę, że dała mu trochę szczęścia - przyznał głucho, rozczesując palcami sztywne od morskiej soli włosy.

- Widać tak musiało być - dodał filozoficznie, patrząc w zamyśleniu w przestrzeń. - W końcu sam ją wybrał.

- Wbrew twojej opinii, prawda?

Mocno zacisnął usta. To okropne, ale przecież miała rację.

- Nie powinienem skłamać go do zmiany decyzji - przyznał. - I nie powinienem odwracać się od niego.

- Postąpiłeś tak, jak uważałeś za słuszne - powiedziała Carly pojednawczo. - Ale powinieneś wrócić... na koniec.

- Wiem. - Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w twarz. - Bardzo mi przykro, że tego nie zrobiłem.

- Mimo wszystko wiedział, że go kochasz - wtrąciła Carly pocieszająco. - On zaś kochał ciebie. Powiedział mi to... I moja matka też go kochała, wiem o tym - dodała załamującym się głosem. - Naprawdę!

Tak, teraz Piran zdawał sobie z tego sprawę. Spuścił wzrok. Czego właściwie oczekiwał? Rozgrzeszenia? Błogosławieństwa ze strony młodej kobiety, którą przed laty upokorzył i wobec której jeszcze kilka dni temu był niegrzeczny?

Nic z tego. Żadne słowa pocieszenia nie zostały wypowiedziane. Carly stała w miejscu i nic nie mówiła. Po prostu stała.

Wreszcie Piran rzucił jej z ukosa spojrzenie.

- On zasługiwał na miłość - powiedział ściszone głosem. - Był bardzo dobrym człowiekiem. - Z pewnością o wiele lepszym niż ja, dodał w duchu.

- Każdy zasługuje na miłość - powiedziała Carly. Jej szeroko otwarte, pełne wzruszenia i miłości oczy miały taki sam wyraz jak dziewięć lat temu, gdy ofiarowywała Piranowi serce.

Piran przymknął powieki, jakby chciał wymazać z pamięci obraz niewinnego dziecka, którym wówczas była.

- Dziękuję, że zabrałeś mnie na nurkowanie - powiedziała po chwili z lekkim ożywieniem w głosie. - Bawiłam się doskonale.

Raz jeszcze przemknęło mu przez myśl, by zaproponować jej wspólne zwiedzanie tunelu. Ale szybko doszedł do wniosku, że robi lepiej, zostawiając sprawy ich własnemu biegowi.

Następnego popołudnia w koszyku z codzienną pocztą Carly znalazła pastelową kopertę. Przez chwilę przyglądała jej się z niepokojem w sercu, nim zaniosiła ją do domu i położyła na biurku Pirana.

- Został nadany dwa tygodnie temu - poinformowała. Piran zbielałymi dłońmi sięgnął po nóż do papieru i przeciął kopertę.

Gdy czytał, Carly nerwowo zagryzała wargę, z całych sił powstrzymując się przed zaglądaniem mu przez ramię. Kilka sekund później Piran odchylił głowę do tyłu, oparł się o krzesło i zamknął oczy. Potem otworzył je, dokładnie złożył list i umieścił go z powrotem w kopercie.

- Przypuszczam, że właśnie o to chodzi - skostatował spokojnym tonem.

- Co napisała? - niecierpliwiła się Carly.

- Napisała, że ma dla mnie niespodziankę. Uważa, że będę zachwycony, a przynajmniej... - spojrzał znacząco w oczy Carly - ma taką nadzieję.

- Niespodziankę - powtórzyła Carly głuchym głosem. Właściwie czego oczekiwała... ?

Piran zacisnął wargi w wąską linię.

- List musiał krążyć po drodze - powiedział po chwili. - Powinien nadejść przed Arthurem.

- A więc Wendy jest jego matką... - To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Ale cóż za różnica, kto jest matką Arthura? Musiała być przecież jakaś kobieta... Wiedziała tylko, że sama nią nie jest.

I zaraz przyznała w duchu, że czuła żal z tego powodu. Do licha, co za dziwne przewrotne uczucie...

Nadal czuła oszołomienie z powodu wczorajszych przeprosin Pirana. I czuła również ból. Wszystkie nadzieje, wszystkie marzenia, które tyle lat nie dawały jej spokoju, wróciły potężną falą. Przez resztę dnia nie mogła się uspokoić. Udawała, że pracuje; zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak oszustka. Położyła się wcześniej do łóżka w nadziei, że nazajutrz odzyska równowagę. Ale jak dotąd nie odczuła większej poprawy.

- Czy napisała, że zostawi ci dziecko? - spytała zdesperowana.

- W ogóle niewiele napisała; tylko o niespodziance, dzięki której mam zacząć ją traktować poważnie.

Przez dłuższą chwilę milczeli, pochłonięci własnymi myślami.

- Do licha! - Piran nieoczekiwanie walnął pięścią w blat biurka. - Teraz żałuję, że nie przeczytałem tych wcześniejszych listów.

Nim Carly zdążyła spytać o cokolwiek, Arthur z zadziwiającą punktualnością zaczął płakać. Wstała więc prędko i pobiegła do sypialni.

- Czas na kąpiel? - spytał Piran, gdy pojawiła się w salonie z przewiniętym i przebranym dzieckiem.

- Chyba dzisiaj nie powinnam robić sobie przerwy - powiedziała z westchnieniem.

- Dlaczego?

- Niewiele dziś zrobiłam... Po prostu nie mogłam się skupić. A przecież zostało nam już tylko półtora tygodnia.

- Damy sobie radę - pocieszył ją. - Przecież i tak nie możemy obydwójce pracować, gdy Arthur nie śpi.

- Ale jedno z nas powinno - upierała się.

- A więc to będę ja - powiedział Piran. Odczuła ulgę, że Piran nie pójdzie z nimi na plażę.

- Nie będziemy długo - obiecała. - Potrzyмай go przez chwilę, pójdę włożyć kostium.

Piran bez wahania wziął Arthura na rękę. Nawet pocałował go lekko w czoło.

Carly miała wrażenie, że jakaś żelazna obręcz zaciska się wokół jej serca. Pospiesznie poszła do swego pokoju, by nie okazać wzruszenia. Chwilę później wróciła w granatowym kostiumie kąpielowym i z włosami zebranymi w koński ogon.

- Dzięki - powiedziała, wyciągając ręce po Arthura. - Do zobaczenia wkrótce!

Na plaży wiał łagodny wietrzyk, woda była rozkosznie ciepła, a Arthur, gdy przeskakiwała z nim fale, śmiał się w głos z radości. O wiele przyjemniej było beztrosko baraszkować w wodzie, niż wrócić do domu i pracować w towarzystwie Pirana...

Im dłużej przebywała z Piranem, tym bardziej skomplikowane stawały się jej uczucia. Z całych sił pragnęła, by stało się to, co stać się nie mogło. Pragnęła bowiem miłości, małżeństwa, rodziny i wiecznego szczęścia. Dotychczas wmawiała sobie, że wyrosła już z tych nonsensów i nawet udało jej się w to uwierzyć. Aż do wczoraj.

O Boże, jakże była głupia!

Nagle Arthur podskoczył w jej ramionach i z uśmiechem na twarzy pomachał rączkami.

- Cieszysz się, że mnie widzisz, prawda?

Carly obróciła się tak gwałtownie, że omal się nie pośliznęła. Piran podbiegł i zdążył chwycić ją w ramiona.

- Co tutaj robisz? - wykrztusiła.

- Brak mi silnej woli - powiedział, posyłając jej uśmiech winowajcy.

- Och, Piran, naprawdę powinieneś...

- Daj spokój - przerwał jej z ożywieniem. - Skończyłem właśnie rozdział i postanowiłem trochę popływać. W porządku?

Nadal ją obejmował i Carly z drzeniem serca pomyślała, że przestała czuć się bezpiecznie. Zupełnie nie potrafiła się odprężyć; całe jej ciało instynktownie reagowało na jego dotyk. Zrobiła krok do tyłu, próbując wyzwolić się z jego objęć.

- A więc pływaj - odezwała się gburowatym tonem.

- Za chwilę. Liczyłem, że otrzymam od ciebie nagrodę...

- Jaką nagrodę? - Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.
- Może pocałunek?
- Gdy kończyłeś poprzednie rozdziały, nie całowałam cię w nagrodę! - obruszyła się.
- Musimy zatem zmienić obyczaje. Odepchnęła go mocniej.

- Idź już pływać!

Udając zbolaną minę, rozplótł ramiona i jednym sprężystym ruchem rzucił się na nadchodzącą falę.

Carly stała przy brzegu i obserwowała, jak płynął w stronę rafy koralowej, przecinając wodę długimi, mocnymi uderzeniami ramion. Gdy osiągnął rafę, skreślił i zaczął płynąć równoległe do brzegu.

- Pewnego dnia ty też będziesz tak pływał - zwróciła się do Arthura.

Chłopczyk zachichotał, a potem przytulił się do jej włosów i chwycił ją za ucho. Carly mocniej przycisnęła go do piersi. To takie ulotne chwile szczęścia, pomyślała. Wkrótce nadejdzie czas rozstania i będę za tobą tęsknić...

I za Piranem.

Piran zaczął już płynąć z powrotem do brzegu. Gdy znalazł się na mieliźnie, wstał, woda zaś spływała po jego mocno umięśnionej klatce piersiowej i czarnych kąpielówkach. Carly pomyślała, że gdy tak wynurzał się z morza, przypominał Neptuna. Patrzył wprost na nią swymi niebieskimi, błyszczącymi oczami i uśmiechał się zagadkowo.

Nagle spojrzał na plażę, gdzieś dalej, i przestał się uśmiechać. Jakby zawahał się, zwolnił kroku, a w jego oczach pojawiły się złe błyski. Podszedł wreszcie do Carly, ostentacyjnie wyciągnął rękę i mocno otoczył ją ramieniem.

- Co się stało? - spytała, zdziwiona siłą jego uścisku. - Piran? - Zerknęła nań z ukosa, ale nie napotkała jego wzroku.

Piran nie spuszczał z oczu kobiety, która szła plażą w ich kierunku. Miała gęste, złociste włosy, opadające na plecy, jaskrawoczerwony podkoszulek i białe szorty. Figurę miała nieco pełniejszą niż przeciętna modelka - ale nie mniej zgrabną.

- Piran! - zawołała z daleka, uśmiechając się i machając do niego ręką.

- Daj mi dziecko - powiedział Piran do Carly i, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyjął jej Arthura z rąk.

Gdy stanęli naprzeciwko siebie, kobieta przestała się uśmiechać. Wyglądała na zmieszaną i zakłopotaną, gdy przesuwiała wzrokiem po Carly i Arthurze.

- Witaj, Wendy - powiedział Piran, zdobywając się na uprzejmość.

Wendy? Carly nagle zeszywniała. A więc to jest matka Arthura...? -

Wendy patrzyła na Pirana, nerwowo mrugając powiekami.

- Dostałeś... dostałeś mój list?

- Dopiero dzisiaj. - Uniósł kącik ust w sardonicznym uśmiechu.

- O Boże! - wymamrotała z nagle pobladłą twarzą. - A więc nie spodziewałeś się mnie?

- Nie, moja droga, nie spodziewałem się - wycedził.

- I nie jesteś zbytnio... szczęśliwy?

- Wprost przeciwnie - powiedział. - Jestem niezmiernie szczęśliwy.

- Naprawdę? - ucieszyła się niepewnie.

- Naprawdę. Jestem szczęśliwy, bo... żonaty.

Rzuciła mu badawcze, niedowierzające spojrzenie. Carly również.

- Żonaty? - powtórzyła jak echo.

- Oto moja żona, Carlota. - Popchnął Carly lekko do przodu. - Carly, to jest Wendy Jeffries. Pamiętasz, jak ci o niej opowiadałem?

Ścisnął ją tak mocno, że nie śmiała zaprzeczyć.

- Oczywiście - wyjąkała. - Miło mi panią poznać.

Wendy nic nie mówiła. W milczeniu patrzyła na Pirana, na Carly, to znów na dziecko.

- On jest... - zaczęła, ale Piran nie pozwolił jej dokończyć.

- On jest mój! - powiedział stanowczo. - Potwierdzę to wszędzie tam, gdzie trzeba... przed sądem czy gdzie indziej. Mam zamiar zatroszczyć się o niego, nie musisz niczym się przejmować.

- Co takiego? - Wendy zamrugła powiekami.

- Powiedziałem, że nie musisz się martwić o Arthura. Rozumiem, że nie chcesz się nim zajmować. W porządku. W tych okolicznościach wcale cię nie winię. Ale Carly i ja go chcemy!

Wendy nadal wpatrywała się w niego, jakby niczego nie rozumiała.. Carly również. Otworzyła usta i znów je zamknęła; przesunęła językiem po wargach, jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

- Piran...

- Posłuchaj - znów nie dopuścił jej do głosu - nie znam się na prawnych przepisach... nigdy dotąd nie miałem dziecka... Być może jestem ci coś winien... alimenty, jakąś rekompensatę, nie wiem. Ale o cokolwiek wystąpisz, spełnię twoje żądanie, jeśli tylko pozwolisz nam zatrzymać Arthura.

- Piran!

- Skontaktuję cię z moim prawnikiem. Zaraz pójdziemy do domu i dam ci jego numer telefonu. On załatwi wszystkie formalności...

- Piran! - Tym razem krzyknęła.

- O co chodzi?

- To dziecko... Arthur? Ono nie jest moje!
- Jak to? - Obydwoje z Carly patrzyli na Wendy Jeffries jak na osobę, która postradała zmysły. - Co powiedziałaś?
- Odnoszę wrażenie, że myślisz... - wzruszyła ramionami
- że ja... że my... Czyżby ktoś podrzucił ci dziecko?
- Tak - powiedział krótko Piran. - Ktoś zostawił Arthura na werandzie. Jakiś tydzień temu. Byłem pewien, że to ty! Wszystko by się zgadzało, do diabła! Przecież pisałaś do mnie listy... Napisałaś o niespodziance. - Rzucił jej oskarżycielskie spojrzenie.
- Nie to miałam na myśli.... - Wendy mocno się zarumieniła. - Chciałam odnowić naszą znajomość. Spotkaliśmy się w szczególnych okolicznościach, o ile pamiętasz. Przeżywałeś wtedy trudne chwile.
- Wiem. Dlatego właśnie pomyślałem...
- Bardzo cierpiałeś, zwierzałeś mi się, a potem już się nie widzieliśmy. Ale tamtej nocy byliśmy sobie bardzo bliscy... Miałam nadzieję, że to coś znaczyło - wyznała. - I chciałam sprawdzić, czy teraz czujesz się już lepiej. Dlatego pisałam. Och, zachowałam się głupio! Przed Świętem Dziękczynienia spotkałam Desa. Powiedział, że obydwaj spędzicie tu święta. Postanowiłam przyjechać. On w ogóle nie wspomniał, że się ożeniłeś!
- Piran mocno zacisnął szczęki. Twarz miał czerwoną jak burak.
- Arthur nie mógłby być naszym dzieckiem - odezwała się znów. - Przecież się nie kochaliśmy...
- Nic nie pamiętałem... - powiedział zakłopotany. - Byłem wtedy do niczego. Po śmierci Gordona. Pamiętam tylko, że pojechaliśmy do twojego mieszkania, a potem... - wzruszył ramionami - nie mam pojęcia, co się wydarzyło. Gdy pojawił się Arthur, po prostu doszedłem do wniosku...

- Nic podobnego - przerwała mu Wendy. - Dużo piłeś, zwierzałeś mi się, płakałeś, a potem usnąłeś na moim łóżku.

- Przepraszam... - Piran pochylił głowę. - Tak mi przykro... Nie chciałem zrobić ci przykrości... O Boże, ale się wszystko poplątało!

- Nie powinnam przyjeżdżać - powiedziała Wendy.

- Lepiej, że to zrobiłaś, chociaż zapewne nie z twojego punktu widzenia. - Wykrzywił usta w posępnym uśmiechu. - Teraz przynajmniej wiem, że nie jesteś jego matką.

- W takim razie, kim ona jest?

- Nie wiem - westchnął ciężko.

Wendy popatrzyła na niego, a potem przeniosła wzrok na Carly i potrząsnęła głową.

- Masz bardzo wyrozumiałą żonę - powiedziała. - To wielkie szczęście. Ona musi cię bardzo kochać.

- Wiesz, to wcale nie jest zły pomysł - zadumał się Piran tego wieczoru, gdy już odprowadzili Wendy na prom i Ben przywiózł ich z powrotem do Blue Moon.

Aż do tej pory nie mieli okazji porozmawiać o tym, co się wydarzyło, ponieważ zaraz po powrocie trzeba było nakarmić Arthura, a potem Piran nagle wyszedł na spacer po plaży.

Carly go zresztą nie zatrzymywała. Nie wiedziała, co mu powiedzieć ani o co pytać. Nadal nie wiedziała. I teraz doprawdy nie miała pojęcia, o czym mówił.

Oderwała wzrok od tekstu, nad którym pracowała. Piran stał w drzwiach z rękami wsuniętymi w kieszenie spodni i patrzył przez okno w ciemność.

- O czym mówisz? - spytała.

- O ślubie.

- O ślubie? - Poczowała dziwny ucisk w żołądku.

- Rozmyślałem o tym podczas spaceru i doszedłem do wniosku, że to całkiem niezły pomysł. - Zerknął na nią z ukosa. - Przecież tego chciałaś, prawda? Tak mówiłaś...

- Ale nie miałam na myśli...
- Wiem, że zupełnie inaczej wyobrażałaś sobie zaręczyny... - Przeczesał palcami włosy. - Ale pomyśl logicznie! Dlaczego, u diabła, nie mielibyśmy się pobrać? Przecież pragniemy się od wielu lat!
- Na litość boską, Piran...
- Och, to prawda! Nie możesz temu zaprzeczyć. Gdybyś się zgodziła, już dawno byśmy się kochali, i dobrze o tym wiesz! Ale się nie zgodziłaś, ponieważ chciałaś małżeństwa. W porządku więc, proponuję ci małżeństwo. - To mówiąc, popatrzył jej prosto w oczy.
- To naprawdę urocze oświadczyły - powiedziała z największą swobodą, na jaką mogła się zdobyć, chociaż w sercu zamiast radości, czuła teraz przejmujący ból.
- Przykro mi. - Z rozmachem kopnął dywanik. - Musisz wiedzieć, że nie należę do romantycznych dżentelmenów. W dodatku ten cały bałagan nie skłania do romantyzmu. Ale wszystko się uda, zobaczysz - dodał z zapałem.
- Małżeństwo to coś więcej niż pociąg fizyczny - wtrąciła słabym głosem, zdając sobie sprawę, że wpadła w pułapkę własnych marzeń.
- Przecież mamy coś więcej. Lubisz Arthura, nieprawdaż?
- Oczywiście, że go lubię...
- I lubisz ten dom? - Wpatrywał się w nią, oczekując potwierdzenia. - I lubisz nurkować. Mówiłaś, że zawsze o tym marzyłaś. Jeśli się pobierzemy, będziesz mogła nurkować do woli: tutaj lub w Grecji, albo na Pacyfiku, jeśli przedsięwzięcie, nad którym pracuje Des wypali. A poza tym dobrze nam się wspólnie pracuje, prawda?
- Tak - przyznała ze ściśniętym sercem.
- A więc, dlaczego nie? Pobierzemy się i Arthur będzie miał oboje rodziców. Zaczнеш nurkować. We dnie będziemy

pisać książki, a w nocy będziemy się kochać. - Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- A co z matką Arthura, jeśli się ujawni? - Carly miała ochotę krzyczeć.

- Nic. Przecież go nie chce. Udowodniła to, nie zjawiając się do tej pory. Nie uda jej się zabrać mi Arthura, zwłaszcza jeśli będę żonaty. - W jego niebieskich oczach pojawił się wyraz skupienia. - No i co, Carly? Co ty na to?

Carly nie mogła wydobyć głosu. Język miała przyklejony do podniebienia, w głowie jej wirowało. Odnosiła wrażenie, że serce jej przestało bić.

Wyjść za Pirana? Dzielić z nim życie każdego dnia? Podróżować razem, nurkować, pisać książki? Zostać matką Arthura?

To byłoby cudowne, gdyby... Gdyby Piranem nie kierowało tylko wyrachowanie...

- Jeśli odmówię - wyszeptała - co wtedy zrobisz? Pójdiesz do miasta i poprosisz o rękę pierwszą napotkaną kobietę?

- Co ty wygadujesz! - obruszył się. - Chcę ciebie. To rozwiązuje wszystkie nasze problemy, nieprawdaż? Ty pragniesz małżeństwa, ja zaś matki dla Arthura. I obydwójce chcemy iść do łóżka! - Uśmiech, jakim ją obdarzył, był jednak kwaśny, pełen smutku i zadumy. - Ale jeśli mi odmówisz, nie zamierzam natychmiast szukać innej kobiety.

Nie były to porywające oświadczenia. Nieśmiałe sugestie Johna zawierały więcej romantyzmu niż ta rzeczowa, rozsądna propozycja matrymonialna. Ale Carly nie chciała poślubić Johna... bo nigdy nie przestała marzyć o poślubieniu Pirana.

Carly, mimo że zdawała sobie z tego sprawę, walczyła ze swoim sercem. Małżeństwo z rozsądku, z wygody, wydawało jej się głupotą!

Ale być może - podpowiadał jakiś wewnętrzny głos - większą głupotą byłoby nie zaryzykować?

Wierzyła w uczciwość Pirana. Jeśli da słowo, z pewnością go dotrzyma. Po prostu próbował postąpić uczciwie; wyznawał surowe zasady moralne, był sprawiedliwy i szczerzy aż do bólu... Poza tym miał poczucie obowiązku.

Cóż, wiele małżeństw zawierano w jeszcze mniej romantycznych okolicznościach...

Usłyszała ciche zawrodozenie z sypialni. Oczywiście, był jeszcze Arthur! Stała przed szansą posiadania Pirana i Arthura jednocześnie. Być może będzie miała również własne dzieci... I dom. I rodzinę. Jedno małe „tak”, a spełnią się jej najskrytsze marzenia...

No, może niezupełnie...

Przypomniała sobie matkę rzucającą się z jednego małżeństwa w drugie - zawsze pełną szczerych nadziei na prawdziwe szczęście. "Nie można bać się ryzyka, Carly" - powtarzała córce wiele razy, nawet wówczas, gdy czuła się zraniona.

Carly wiedziała, że małżeństwo z Piranem przyniesie jej dużo cierpienia. Ale czy nie będzie cierpiała, jeśli odrzuci tę szansę?

- Zgoda - powiedziała wreszcie, wolno podnosząc wzrok i patrząc mu prosto w oczy. - Wyjdę za ciebie za mąż.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaręczyli się, nakarmili i przewinęli Arthura, położyli go do łóżka, a potem skończyli ósmy rozdział.

- Zaczęłam dziewiąty, ostatni - powiedział Piran, gdy zaakceptował naniesione przez Carly poprawki do rozdziału poprzedniego. - Wyglądasz na zmęczoną, lepiej idź do łóżka - dodał szorstkim tonem, niezbyt odpowiednim dla świeżo upieczonego narzeczonego.

Carly uśmiechnęła się blado i skinęła głową.

- Masz rację, jestem zmęczona - powiedziała. - Do jutra! Do licha, przecież nie spodziewała się romansu! W końcu zaręczyny z Piranem nie były zwieńczeniem miłosnego związku. Przynajmniej nie ze strony Pirana. Bo jeśli o nią chodzi...

Nie chciała się do tego przyznać, lecz z nią było na odwrót. Nie mogła jednak dopuścić, by Piran dowiedział się, jak bardzo go kochała. Musiała zachować choć trochę godności.

Umyła twarz, wyczyściła zęby i przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

- Jesteś zaręczona z Piranem St Justem - powtarzała sobie w kółko.

Wiele lat temu również powtarzała sobie te słowa, po to tylko, by upajać się ich melodią. Uśmiechała się wówczas tajemniczo i skrywała swe uczucie głęboko w sercu.

Teraz uśmiech nie zagościł na jej wargach, a do skrywanych w głębi serca uczuć dołączył strach.

Czy eksperyment się powiedzie? Czy okażą się dobrymi rodzicami dla Arthura? Czy będą dobrymi partnerami dla siebie? Czy kiedykolwiek Piran ją pokocha...?

- Poczekaj na jutrzejszy pasjonujący odcinek „Szaleństw Carly O'Reilly” - poradziła swemu odbiciu w lustrze.

- Jakież to będą szaleństwa? - usłyszała nagle głos dochodzący zza na wpół uchylonych drzwi.

- Och! - Odwróciła się tak raptownie, że omal nie uderzyła się o umywalkę.

- Oczekiwałaś kogoś innego? - Uśmiechał się z lekką ironią.

- Oczywiście, że nie - obruszyła się natychmiast. - Czego chcesz?

- Chcę cię pocałować na dobranoc.

Otworzyła szeroko oczy i szybko - co za głupi gest! - sięgnęła po ręcznik, by zasłonić nim dekolt koszuli. Po chwili zebrała całą odwagę, na jaką było ją stać i odparła:

- W porządku. - Błyskawicznie pochyliła się do przodu i musnęła wargami jego policzek, po czym równie prędko się wycofała. - Dobranoc.

- To za mało - powiedział, wolno potrząsając głową.

Z ręcznikiem w ręce Carly usiłowała przejść obok niego, ale stał nieruchomo, tarasując przejście.

- Nie wygłupiaj się, Piran. Idę do łóżka, a ty wracaj do pracy!

- Nie mam zamiaru.

- Ale przecież powiedziałaś...

- Staralem się zachować powściągliwie i nie nalegać. Ale, cóż... - Z rezygnacją wzruszył ramionami. - Moja szlachetność ma swoje granice.

Nie powiedział nic więcej, nie przedstawił żadnych argumentów, nie usiłował jej przekonywać. Po prostu stał nieruchomo, badawczo śledząc każdy jej ruch swymi pięknymi oczami.

Carly żar tego spojrzenia - odbierała niemal jak fizyczny kontakt; przez całe jej ciało - od ramion, przez piersi aż po opalone nogi - przebiegł łagodny, rozkoszny dreszcz

pożądania. W każdym miejscu, gdzie bodaj na sekundę spoczęły oczy Pirana, czuła delikatne, zmysłowe drżenie.

- Jakie szaleństwa, Carly? - nalegał głosem, który przeszedł w namiętny, ochryply szept. Dotknął dłonią jej policzka, potem przesunął palcem wzdłuż linii brody i ust, wreszcie pochylił się i musnął je wargami.

W tym. pocałunku nie było zmysłowej zachłanności, tylko leniwa, kusząca figlarność, jakby obietnica tego, co może nastąpić później.

- Czy to jest szaleństwo, Carly? - spytał.

Znów usta ich się spotkały, tym razem na dłużej. Pocałunek trwał i trwał, aż Carly zaczęła szybciej oddychać, spazmatycznie podwijając palce u stóp, jakby chciała ucześcić się podłogi. Była częścią niego - przez ulotną chwilę - a teraz znów została sama... Zdusiła jęk, ale nie mogła wyprostować palców.

- Myślę, że to właśnie jest szaleństwo - odpowiedział Piran sam sobie. - Chyba znów powinniśmy mu ulec. Co ty na to? - I nie czekając na odpowiedź, przywarł wargami do jej ust, objął ją ramionami i mocno przytulił do siebie.

Carly poczuła na całym ciele słodki, rozkoszny dreszcz. Rozluźniła dłonie, tak samo kurczowo zaciśnięte jak palce u stóp i wsunęła je pod bawełnianą koszulę, przyciskając do ciepłych, mięśniowych pleców Pirana.

Szaleństwo? Być może... Carly nie wiedziała już nic. Straciła instynkt samozachowawczy, straciła cały rozsądek. Była na łasce zmysłów - na łasce miłości do Pirana St Justa.

- To za mało - wyszeptał prosto w jej usta. - Mogłoby być o wiele więcej... - W tonie jego głosu czuło się teraz naleganie, ale nie uczynił żadnego gestu, żadnego ruchu, aby wyprowadzić ją z łazienki do sypialni. - Carly...?

- Słucham... ? - Och, nic nie mów! Wbiła paznokcie w jego plecy, by powstrzymać krzyk z głębi serca.

- Pragniesz mnie?
- A jak myślisz?
- Myślę, że tak. - Skrzywił się lekko. - Ale jeśli się mylę...
- Popatrzył na nią posepnie. - Jeśli się mylę, poczekam...
Poczekam, aż będziemy małżeństwem To zależy od ciebie.

Gdy podniosła wzrok, napotkała jego natarczywe spojrzenie.

- Pragnę cię - wyszeptała. Kocham, poprawiła się w duchu.

- W mojej sypialni jest większe łóżko - powiedział, prowadząc ją do jej pokoju.

- Po co nam większe łóżko? Tu będzie dobrze...

Gdy przyjeżdżała do Blue Moon jako nastolatka - to była jej sypialnia. Na tym właśnie łóżku leżała w bezsenne noce, oddając się młodzieńczym fantazjom. Pamiętała księżyc zawieszony nad szpalerem bugenwilli, którego zimne światło nieraz studziło jej rozgorączkowane myśli. Pamiętała, jak noc po nocy wyobrażała sobie, że kocha się z Piranem...

I wreszcie on tu był. To przypominało szczęśliwe zakończenie bajki...

Uniosła dłonie i delikatnie przesunęła palcami po jego piersi, po czarnych włosach, które zwały się aż do pępka. Pod wpływem tej pieszczoty naprężył mięśnie i drgnął niespokojnie.

- Uważaj - ostrzegł ją drżącym głosem. - Tym razem musimy to zrobić dobrze.

- Cokolwiek zrobisz, będzie dobrze, Piran.

- Carly! - Gwałtownie wciągnął powietrze, gdy wsunęła - palec pod gumkę jego szortów.

Uśmiechnęła się pod nosem. Szaleństwo? Och, bez wątplenia. Ale tym szaleństwem urzeczywistniała swe najskrytsze marzenia; gdy dotykała Pirana, sprawiała, że drżał,

że załamywał mu się głos, gdy słyszała ten zduszony dźwięk w głębi gardła, miała wrażenie, że śni.

Wyciągnęła się z rozkoszą, gdy wsunął ręce pod cienki materiał koszuli i zaczął drażnić koniuszkami palców jej sutki. Wreszcie zdjął jej koszulę przez głowę i rzucił na podłogę. Leżała teraz przed nim całkiem naga.

Wolno opuścił ręce, ujął najpierw jej piersi, a potem zakreślając kółka na skórze, wolno przesuwał dłonie po brzuchu i biodrach, wciąż w dół i w dół jej ciała. Leżała z rozszerzonymi oczami, ledwie oddychając, rozkoszując się dreszczem, który przeszywał ją całą.

- Piran! - Nie mogła powstrzymać krzyku. Rzeczywistość przerosła najśmielsze fantazje. W marzeniach nie wyobrażała sobie pieścizot tak zmysłowych, nie wyobrażała sobie wstrząsu, jakiego doznawała teraz, gdy Piran dotykał jej naprawdę, nigdy też nie patrzyli na siebie tak pożądliwie...

- To niesprawiedliwe - wyszeptała, oszołomiona drzeniem własnego głosu. - Ja też chcę cię widzieć... - Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała; nie mogła uwierzyć, że naprawdę zamierzała to zrobić.

- Carly! - jęknął, gdy jej ręce rozpoczęły zmysłową wędrówkę wzdłuż jego ud aż po rąbek szortów.

- Coś robię niedobrze? - Spojrzała na niego z niepokojem.

- Zbyt dobrze - szepnął. - Torturujesz mnie.

Rozpinała mu wolno szorty, guzik po guziku, czując pod cienką materią pulsujące ciepło.

Widziała już przedtem jego nagość - tej pierwszej nocy po przyjeździe, gdy niósł ją na rękach z plaży. Wtedy był gwałtowny, nieokrzesany, wzbudzał strach. Ale mężczyzna, którego widziała teraz, był wspaniały.

Powiedziała mu to, on zaś zareagował urywanym śmiechem. Wtulił twarz w jej piersi i całował je, potem brzuch

i uda, sprawiając, że drżała, że zalewały ją na przemian fale zimna i gorąca.

- Piran! - Desperacko chwyciła go za ramiona, pragnąc, by doświadczył takiej samej rozkoszy jak ona.

- Teraz? - spytał ochryple.

- Jeśli ty... Czy ty...?

- Och, Boże, tak!

I wreszcie stał się częścią niej. Pożądanie i spełnienie, fantazja i rzeczywistość - wszystko stopiło się w jedno. Była taka chwila, gdy ciało Carly stawiało opór, a w oczach Pirana pojawiła się panika.

- Carly? - Spojrzał na nią zdumiony.

Zacisnęła mocniej palce na jego plecach, oplótła nogami jego biodra i przyciągnęła go bliżej do siebie. To była jej odpowiedź.

Kiedyś, przed laty, gdy Carly pływała na desce, poznała potężną siłę fali. Pamiętała to niesamowite wrażenie, gdy jej ciało unosiło się na wodzie i pędziło na oślep z zatrważającą prędkością, a mdłosłodki strach, który odczuwała, mieszał się z radością i podnieceniem.

Namiętność, którą poznała w ramionach Pirana, gdy unosili się, poruszali i opadali razem, przypominała tamto odczucie.

Leżał na niej teraz, trzymała go mocno w objęciach, rozkoszując się ciężarem jego ciała, ciepłem jego oddechu na swoim policzku, Kocham cię, powtarzała w myślach. Boże, jak ja bardzo go kocham!

Chwilę później uniósł głowę i oczy ich spotkały się w świetle księżyca. Twarz miał poważną, napiętą.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wiedziała, o co pytał. Nie chodziło mu o miłosne wyznanie.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że to twój pierwszy raz...?

- Jesteś zły?

- Oczywiście, że nie... To znaczy... do diabła! - Był raczej smutny niż rozzłoszczony. - Po prostu postarałbym się, aby było lepiej.

- A mogło być jeszcze lepiej? - Uśmiechnęła się lekko. Przez moment czuła ból, ale wobec tego, co stało się później, nie mogła się skarżyć.

Roześmiał się tylko, po czym wstał z łóżka.

- Poczekaj tutaj. - Popatrzył na nią z niepokojem, jak na zjawę, która w każdej chwili może zniknąć.

- Nigdzie się nie wybieram - zapewniła uroczyście. Po chwili wrócił z łazienki z mokrą gąbką i ręcznikiem.

- Delikatniej... - powiedział. - Zrobiłbym to delikatniej, gdybym wiedział...

Zaczaj ją myć, a potem wycierać - subtelnie, z ogromną delikatnością. To było więcej niż pieszczota. Zadrzała z rozkoszy; ku swemu zdziwieniu znów odczuwała podniecenie. Poruszyła się niespokojnie, a Piran uniósł głowę i spojrzał na nią badawczo.

- Czy naprawdę chcesz...? - zaczął, ale Carly nie pozwoliła mu dokończyć.

- Tak, chcę ciebie - oświadczyła bez cienia wątpliwości w głosie.

I znowu wyciągnęła do niego ramiona.

Obudziła się w promieniach słońca zalewających łóżko. Usiadła prosto i spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta?

To niemożliwe. Nie mogła spać aż tak długo!

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie przespała całej nocy...

Ale co z Arthurem?

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła iść do jego pokoju, gdy zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze: nie miała niczego na sobie.

Nocna koszula nadal leżała na podłodze, w tym samym miejscu, gdzie wczoraj rzucił ją Piran. Ale szorty i koszula Pirana - oraz sam Piran - zniknęli.

Carly pośpiesznie ubrała się w szorty i podkoszulek, potem umyła zęby i przeczesowała włosy. Gdy spojrzała w lustro, zarumieniła się lekko. Wyglądała tak... tak zmysłowo.

Może nie było to właściwe określenie, ale jej wargi wydawały się pełniejsze i bardziej miękkie w dotyku, a piersi pod cienkim stanikiem bardziej wrażliwe. Natomiast reszta jej ciała... Zarumieniła się mocniej, odwróciła pośpiesznie i wyszła z łazienki.

W salonie Piran siedział przed komputerem z Arthurem na kolanach i małymi paluszkami dziecka usiłował wystukać coś na klawiaturze. Na dźwięk kroków Carly obaj unieśli głowy.

Arthur zaszczębiotał radośnie, a Piran uśmiechnął się szeroko.

- Nasza śpiąca królewna nareszcie wstała - zwrócił się do Arthura.

Carly poczuła znów, że się rumieni.

- Nie słyszałam Arthura, przepraszam - powiedziała niewyraźnie. - O której cię obudził?

- Kilka minut po siódmej.

- Och, powinnam...

- Daj spokój. Musiałaś wypocząć. Ostatnią noc spędziłaś pracowicie. - Uśmiechnął się szeroko. - Powiedzmy, że dziś był mój dyżur.

Poszła do kuchni, by ukryć się gdzieś przed spojrzeniem pełnym pożądania. Nalała sobie filiżankę kawy.

- Napijesz się kawy? - zawołała i odwróciła się wystraszona, słysząc odpowiedź tuż za swoimi plecami.

- Wypiję ją z tobą.

Trzymał na ręku Arthura z taką wprawą i swobodą, że Carly zareagowała uśmiechem.

- Uśmiech dla mnie, czy dla niego? - spytał, biorąc z jej ręki kubek. Ich palce dotknęły się na sekundę i aż dziw, że się nie zaiskrzyło.

- Dla was obydwóch - odparła przytomnie. I chcąc zmienić temat, szybko dodała: - Ile dziś rano napisałeś?

- Niewiele. Ale dobrze mi idzie. Z pewnością skończę, jeśli uda mi się pozbyć małego pomocnika. Arthur nie pisze jeszcze biegle na maszynie.

- Powinieneś mnie obudzić - powtórzyła.

- Potrzebowałam snu. - Znów się uśmiechnął. - I wyglądasz pięknie.

Zażenowana komplementem, pospiesznie wzięła Arthura z jego ramion i odwróciła wzrok.

- Lepiej będzie, jeśli zabierzemy się do pracy - powiedziała, sadowiąc Arthura na biodrze. - Przynajmniej jedno z nas.

- Dla ciebie nie ma na razie roboty. Musisz poczekać, aż skończę. Może w tym czasie ubierzecie z Arthurem choinkę?

Dopiero teraz Carly spostrzegła leżące na stole drobiazgi. Najwyraźniej dzisiejszego poranka Piran z Arthurem nie tylko pisali na maszynie.

Na stole leżały blaszane przynęty na ryby, których, jak sobie przypomiwała, Piran używał przed laty, i muszelki, które przynosiła codziennie z plaży. Były tam również kawałki rybackich sieci, szkiełka, które jej ofiarował, a które umieściła na honorowym miejscu nad kominkiem, kilka drewniaków wygładzonych przez fale, suche strąki z drzewa rosnącego przy plaży i karton wypełniony świeżo zerwanymi czerwonymi i różowymi kwiatami hibiskusa.

- Będziesz musiała codziennie zmieniać kwiaty, ale jeśli chodzi o resztę... - Zawahał się. - Wiem, że te ozdoby nie są w twoim guście, ale pomyśleliśmy z Arthurem, że może niektóre wykorzystasz...

Carly omiotła czułym spojrzeniem drobiazgi, które tak pieczołowicie poukładał. Jak na człowieka, który nie chciał mieć choinki, wykazał dużo dobrej woli, Coś ją ścisnęło w sercu. Przytuliła mocniej Arthura do piersi.

- Wykorzystam je - powiedziała do Pirana. - Po co nam typowa choinka? To wspaniały pomysł.

Ubieranie choinki z Arthurem na ręku nie było rzeczą łatwą, ale Carly chętnie śpiewałaby na cały głos z radości, gdyby nie obawa, że przeszkodzi Piranowi w pracy. Starła się cicho poruszać i odzywać do dziecka szeptem.

Piran stukał w klawiaturę z ogromnym zapałem, a kiedy na chwilę przerywał pracę, uśmiechał się do niej i do Arthura.

- Wygląda wspaniale - powiedział, gdy skończyła swoje dzieło.

- Masz rację - zgodziła się z uśmiechem. Przypomniała sobie ubiegłoroczną choinkę, którą dekorowała wraz z matką, Rolandem i jego córkami. Zdobiły ją kolorowe orzechy, bombki i aniołki z papieru; wydawała się wówczas Carly najpiękniejszą choinką na świecie. Ale nawet nie umywała się do tej tutaj - przyozdobionej kolorowymi lampkami, muszkami i przynętami z kolorowych piórek, muszelkami, kawałkami wypolerowanego szkła i drewna.

Piran włączył drukarkę i wstał od komputera. Podszedł do Carly i Arthura, stanął tuż za nimi i objął ich ramionami.

- Podoba mi się - powiedział, muskając wargami ucho Carly. - I ty mi się podobasz.

Carly przyjęła komplement z uśmiechem.

- Mam wrażenie, że także zaczynam cię lubić - powiedziała. Kocham cię, powtórzyło jej serce. Ale słowa te uwięzły jej w gardle. Coś się zaczęło dziać między nią a Piranem. Bała się, że niewczesne wyznanie może wszystko popsuć.

- Auu! - zawołał Piran, gdy Arthur wyciągnął rączkę i chwycił go za nos. - Hej, mały, zachowuj się odpowiednio!

- On chce do nas dołączyć - powiedziała Carly.

- Już to zrobił. - Piran zdjął palce Arthura ze swojej twarzy i zaczął je skubać ustami, aż dziecko zachichotało. - Ostatecznie, to wszystko jego zasługa.

Po lunchu Piran oznajmił:

- Idziemy po świąteczne zakupy!

Uniosła głowę znad tekstu, nad którym właśnie pracowała.

- Teraz? Przecież nie mogę... Muszę to skończyć.

- Miałem na myśli siebie i Arthura - wyjaśnił. - Ty zostajesz.

- W sklepie z gospodarstwem domowym widziałam drewnianą żaglówkę - podpowiedziała. - Moglibyśmy zawiesić ją na choince, a kiedy Arthur podrośnie, mógłby bawić się nią w wannie...

- Zerknę na nią - obiecał. I dodał: - A jeśli skończysz do wieczora, uczymy to. - Poruszył znacząco brwiami, by domyśliła się, jaki rodzaj świętowania miał na myśli. Gdy uśmiechnęła się zarumieniona, pochylił głowę i pocałował ją w usta. - Właściwie - dodał - możemy wziąć sobie kilka wolnych dni, a ostateczną redakcję - zrobić po świętach. Co o tym sądzisz? - Swobodnym ruchem wziął od niej Arthura i skierował się w stronę drzwi.

- Podoba mi się ten pomysł - przyznała cicho.

- A więc umowa stoi.

- Możesz zostawić mi Arthura - zawołała za nim. - Nie musisz go zabierać.

Odwrócił się od drzwi.

- Zabiorę go z największą przyjemnością - oświadczył.

Dziwna sprawa, ale zajmowanie się Arthurem sprawiało mu naprawdę przyjemność. Nie mówiąc już, jaką radość dawała mu sama Carly...

Wracając z miasteczka ze śpiącym dzieckiem na rękę, uśmiechał się do siebie, wspominając, jak znakomicie zgadzali się dzisiejszej nocy...

Zaskoczyło go, że Carly była dziewicą, ale jednocześnie bardzo ucieszyło. Tym większą czuł odpowiedzialność, chciał okazać jej troskę, dbałość - chciał zastąpić jej wszystkich kochanków, których nie miała i mieć już nie będzie, gdy go poślubi...

Z niecierpliwością oczekiwał dzisiejszej nocy. Właściwie mogliby pójść do łóżka zaraz po położeniu spać Arthura... Na samą myśl o kochaniu się z Carly robiło mu się gorąco.

Im więcej o tym wszystkim myślał, tym bardziej małżeństwo z Carly wydawało mu się idealnym rozwiązaniem.

Piran nigdy dotąd nie myślał o małżeństwie i posiadaniu dzieci - ani z Carly, ani z żadną inną kobietą. Od wczesnej młodości dokładnie wiedział, co chce zrobić ze swoim życiem, a założenie rodziny nie mieściło się w tych planach. Po prostu zawsze był zbyt zajęty.

A poza tym - czy małżeństwo jego rodziców stanowiło dobry przykład do naśladowania?

Odkąd pamiętał, rodzice byli wobec siebie obojętni, zajęci własnymi sprawami. Ich rozwód wydawał się rzeczą całkiem naturalną. Piran oczekiwał, że po rozwodzie ojciec zajmie się wyłącznie swoją karierą.

Wtedy jak grom z jasnego nieba pojawiła się Sue... Piran doznał wstrząsu. Małżeństwo ojca nie miało najmniejszego sensu i w dodatku zniszczyło ich wzajemne stosunki.

Gdy dziewięć lat temu Carly dała mu do zrozumienia, że seks i miłość powinny prowadzić do małżeństwa, ponownie doznał wstrząsu. I natychmiast, bez wahania, odrzucił ten pomysł.

Dziś sprawy wyglądały inaczej. Dojrzał i gotów był się ustatkować. Tym bardziej że miał syna, który potrzebował ojca i... matki.

Tak, Carly będzie doskonałą matką. Udowodniła to. Poza tym lubiła nurkować, potrafiła redagować książki... A przede wszystkim, uwielbiał się z nią kochać. Czegóż więcej można chcieć?

Małżeństwo z Carly O'Reilly było naprawdę genialnym posunięciem.

Gdy zbliżał się do domu, z daleka zauważył, że Carly nie była sama. Na werandzie siedziała jakaś kobieta. Miała długie, ciemnozłote włosy, była opalona i wyglądała jakoś znajomo... Zaś obok niej siedział... Des!

Piran ze złością zacisnął szczękę. Cały Des, pojawił się akurat w chwili, gdy książka została prawie skończona!

Słyszając kroki na wyżwirowanej alei, wszyscy unieśli głowy.

- Wróciłeś... - powiedziała Carly z zagadkowym wyrazem twarzy. Wyglądała tak, jakby doznała porażenia słonecznego; wzrok miała nieprzytomny, policzki zarumienione, a wokół jej oczu rysowały się blade cienie.

Złotowłosa dziewczyną nagle poderwała się z miejsca i podbiegła do Pirana.

- A.J.! - zawołała, i gdyby Piran nie stawiał oporu, wyrwałaby mu Arthura z rąk.

- Kimże, u diabła, jesteś? - Zamrugał nerwowo powiekami.

- To jest Angelika - wyjaśniła Carly pośpiesznie. - Matka A.J., to znaczy... Arthura.

Piran wpatrywał się w kobietę badawczym wzrokiem. Twarz wydawała się znajoma, ale...

- Zaraz, zaraz... Być może tracę zmysły, ale jestem przekonany, że nigdy z tą panią nie spałem!

- To prawda - wtrącił rzeczowo Des.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zirytował się Piran.

Ale Des nie zwrócił uwagi na wybuch brata, ponieważ ze wzruszeniem przyglądał się dziecku. Gdy wreszcie przemówił, głos jego był równie czuły jak uśmiech.

- Nie jesteś jego ojcem, Piran - rzekł wolno. - Ja nim jestem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Piran przypuszczał, że jeśli zmusi ich do powtarzania w kółko tego samego, pewnego dnia dozna wreszcie ulgi. Albo przynajmniej dojdzie do wniosku, że to wszystko ma sens...

- Nie mogę uwierzyć, że porzuciłaś dziecko na werandzie
- powiedział do Angeliki po raz drugi z rzędu. Carly nigdy nie zachowywałyby się tak głupio i nieodpowiedzialnie, a przecież nie była matką Arthura. Nie potrafił nawet w myślach nazywać Arthura - A.J.!

- Nie sądziłam, że go porzucam! - zaprzeczyła Angelika.
- Byłam pewna, że jest tutaj Des. Wszystkim rozповідаł, że spędzi święta na Conch Cay, ponieważ musicie dokończyć książkę!

Des miał niewyraźną minę; wyglądał, jakby paliły go ognie piekielne. Piran przyglądał mu się z ubolewaniem.

- Skąd miałem wiedzieć, że zamierzasz zostawić mi dziecko? - bronił się. - Nawet nie wiedziałem, że jesteś w ciąży!

- Próbowałam cię zawiadomić - odparła Angelika. - Ale nigdzie nie mogłam cię znaleźć! Zawsze byłeś na jakimś jachcie albo płynąłeś dookoła świata! Jeśli miałbyś telefon... biuro, jak każdy normalny człowiek...

- Daj spokój, już to przerabialiśmy - wtrącił pojednawczo, sięgając po jej rękę. Popatrzył na Pirana. - Przepraszam za to zamieszanie. Próbowała mnie znaleźć i w przyływie desperacji przyjechała tutaj.

- I zostawiła dziecko! - wybuchnął Piran. - Mogła poczekać i się przedstawić. Z największą przyjemnością poinformowałbym ją, że właśnie żeglujesz przez siedem mórz.

- Była rozzłoszczona - tłumaczył cierpliwie Des. - Myślała, że przed nią uciekam, że unikam odpowiedzialności. Doszła do wniosku, że terapia szokowa pomoże mi przejrzeć na oczy. - Uśmiechnął się krzywo. - Zostawiła więc dziecko,

żeby zaokrętować się na jacht Jima. Wyobraź sobie jej zaskoczenie, gdy spotkała tam mnie!

- Wyobrażam sobie - powiedział sucho Piran. Wszystko potrafił sobie wyobrazić, z wyjątkiem życia bez Arthura...

Gwoli sprawiedliwości musiał przyznać, że ostatnie tygodnie były trudne również dla Angeliki. Gdy widział, jak tuliła w ramionach Arthura, zdał sobie sprawę, że musiała za nim bardzo tęsknić. Och, z pewnością przeżyła piekło, gdy zdała sobie sprawę, że zostawiła Arthura w obcych rękach i nie ma sposobu, by natychmiast opuścić jacht i wrócić do Blue Moon.

A na domiar złego musiała wszystko wyjaśnić Desowi, To również nie mogło być łatwe.

Do licha z nimi! - złościł się w duchu. Zasłużyli sobie na to! Popatrzył na brata ze złością.

- Błyskawicznie się pobraliśmy - wyjaśniał Des. - Nigdy nie przypuszczałem, że mogę porwać kobietę do Las Vegas. Ale uczyniłem to. I przyjechaliśmy prosto tutaj. Jesteśmy ogromnie wdzięczni obojgu wam... - Spojrzał na Carly. - Przepraszam. Nie miałem pojęcia, o co cię proszę - tłumaczył skruszonym głosem. - Musisz mnie nienawidzić. Książka, Piran i na dodatek A.J.!

Piran zacisnął zęby i również spojrzał na Carly.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się blado.

Nie powiedziała nic więcej. Właściwie odkąd Piran wrócił z miasteczka, prawie nic nie mówiła. Widocznie słyszała już wyjaśnienia i nie miała więcej pytań.

Ale Piran miał ich tysiące - wszystkie pełne jadowitej złości. Przez cały czas, gdy je zadawał, Carly siedziała bez ruchu, z rękami złożonymi na kolanach i wzrokiem wbitym w przestrzeń.

- Uważam, że w ogóle nie powinniście mieć dzieci - grzmiał Piran. - Taka nieodpowiedzialna para jak wy!

Angelika gwałtownie wciągnęła powietrze, mocniej przytuliła Arthura do piersi i spojrzała z wyrzutem na Desa, jakby liczyła na jego obronę.

Des wreszcie zabrał głos.

- Uważasz, że jesteś bardziej odpowiedzialny? - Uniósł ironicznie brew. - A kto do niedawna sądził, że Arthur jest jego synem?

Piran oblał się rumieńcem. Nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ nieoczekiwanie uprzedziła go Carly.

- Wcale tak nie uważał - powiedziała niskim, stanowczym głosem. - Wcale tak nie myślał na samym początku...

- Dopiero później - wtrącił Piran - pomyślałem, że to możliwe.... - Wszyscy milczeli; Piran, oszołomiony, również zamilkł. Słyszał tylko uderzenia fal o brzeg oraz rechotanie żab pod palmą kokosową. Zupełnie jak wczoraj... To nieprawda, zachnął się w duchu, dzisiaj nic już nie wyglądało tak jak wczoraj... Czuł, że przyszłość, tak misternie zaplanowana przyszłość, wymyka mu się z rak. Nie mógł dłużej tu usiedzieć. Raptownie wstał. - Gratulacje - powiedział ostrym tonem. - Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi. - I nie mówiąc nic więcej, oddalił się w stronę plaży.

To było chyba najkrótsze narzeczeństwo na świecie, pomyślała ze smutkiem Carly.

Być może powinna wykazać więcej odwagi i poczekać na Pirana, aby się uprzejmie pożegnać... Wiedziała też, że nie będzie końca domysłom Desa i Angeliki, dlaczego tak szybko wyjechała. Trudno, mimo wszystko postanowiła wyjechać natychmiast. Nie mogła zostać i udawać, że nic się nie stało. Nie potrafiła pójść za Piranem na plażę, by się pożegnać... Zresztą, wcale jej o to nie prosił. A nawet gdyby tam poszła - cóż by jej powiedział? Ze w nowych okolicznościach ich zaręczyny straciły na aktualności?

Nie, dziękuję. Carly nie chciała tego słuchać. Chciała pojechać do domu.

- O szóstej mam samolot - zakomunikowała zdziwionemu Desowi. - Jeśli teraz wyjdę, zdążę go złapać. Książka jest prawie gotowa - tłumaczyła - a ostatnią część mogę zredagować w Nowym Jorku. Prócz tego - kłamała - tęsknię już za miastem i przyjaciółmi. Akurat są święta... - dodała trochę żalonym głosem.

Des w końcu dał się przekonać.

- Jeśli tak bardzo ci zależy, podwiozę cię. Pożyczyłem od Sama skuter. Ale nawet nie pożegnasz się z Piranem... ?

- Jemu na tym nie zależy - odparła. I rozpaczliwie obawiała się, że to prawda. - Będę gotowa za pięć minut. - Ale była gotowa szybciej.

Des czekał z nią, aż do przylotu samolotu. Miał taką minę, jakby raz jeszcze chciał wszystko wyjaśnić. Ale Carly unikała jego spojrzenia, przestępowała z nogi na nogę i co chwila zerkała na zegar. Niczego więcej nie chciała słuchać.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - spytał w pewnej chwili, widząc, jak nerwowo obgryza paznokcie.

- Doskonale. Po prostu pragnę już być w domu. - Roześmiała się urywanie. - Może dostałam wyspiarskiej gorączki. No, wiesz, czuję się trochę jak w klatce. Po prostu chcę się stąd wydostać.

Des zmarszczył brwi, jakby nagle nabrał podejrzeń.

- Czy ty i Piran...?

- Nic podobnego! - przerwała mu w pół słowa. Potem szybko pocałowała go w policzek, odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi w ślad za trojgiem pozostałych pasażerów. - Do widzenia! - rzuciła, odwracając głowę.

Nie powiedziała, jak cudowny jest jego syn, ani tego, że będzie za nim bardzo tęsknić. Nie powiedziała niczego nieodpowiedniego, co było niestety szczerą prawdą. Po prostu

pobiegła do samolotu, przyciskając do piersi teczkę z maszynopisem Pirana.

Piran będzie zadowolony, że nie musi jej więcej oglądać... I Diana będzie zadowolona. Wykonała swoje zadanie na medal, Przecież w tym właśnie celu przyjechała na Conch Cay. Nie dla Desa, nie dla Arthura... I, broń Boże, nie dla Pirana! Z trudnością przetykała ślinę. Czuła ucisk w gardle i pieczenie pod powiekami.

Redaktorzy nie płaczą, powiedziała do siebie, gdy samolot zaczął kołować po pasie. Taką przynajmniej miała nadzieję.

- Jak to? Wyjechała?

- Powiedziała, że skończyliście książkę, nie ma więc powodu, by siedzieć tu dłużej. Przypuszczam, że zostało jej jeszcze trochę pracy redakcyjnej, ale...

- Co książka ma z tym wspólnego? - Piran patrzył na brata z wściekłością. Nie mógł dać wiary jego słowom.

Trzy godziny temu wyjechała! Nim zdążył przemierzyć plażę, zastanawiając się nad ostatnimi wydarzeniami, zrobiło się ciemno. Z początku żałował, że Carly nie poszła z nim na spacer, ale potem doszedł do wniosku, że może lepiej się stało. Może obydwójce potrzebowali trochę czasu do namysłu.

Przynajmniej takie było jego zdanie. Jak widać, Carly podjęła decyzję za niego.

- Powiedziała, że ciebie to nie obchodzi - ciągnął Des.

- Przyjechała tu z powodu książki...

- Naprawdę? - Piran ze złością kopnął szczebel balustrady, a potem włożył zaciśnięte w pięści dłonie do kieszeni szortów. Powiedziała, że jego to nie obchodzi...

Des przyglądał się bratu z uwagą.

- Sądziłem, że to prawda - powiedział tonem zadumy.

- Czy... czy między wami coś zaszło?

- To nie twoja sprawa! - burknął Piran.

- Posłuchaj, przykro mi - tłumaczył się Des. - Naprawdę mi przykro, że zaaranżowałem wasze spotkanie. I przepraszam za całe to zamieszanie... Nie wiedziałem o dziecku...

- To nie ma nic wspólnego z Arthurem - zaprzeczył Piran.

- Dlaczego więc jesteś zdenerwowany? - Des przyglądał się bratu spod zmrużonych powiek. - Czy... coś zrobiłeś Carly?

- Co, u diabła, mógłbym jej zrobić? - Piran wyprostował ramiona.

- Mogłeś zrobić jej krzywdę...

- Oczywiście, że nie...

Piran zamyślił się na chwilę. Oskarżył ją o pogoń za pieniędzmi, odebrał dziewictwo, złożył propozycję małżeństwa tylko w tym celu, aby mieć kogoś do opieki nad swoim nieślubnym dzieckiem... Czy to można było nazwać krzywdą...?

Przeczesał dłonią włosy. Do diabła, nic dziwnego, że czmychnęła stąd, nie tracąc czasu! Gdy wyjaśniła się sprawa z Arthurem, poczuła się wolna... To Arthur był tu główną atrakcją - nie on!

Poczuł gdzieś głęboko w piersiach twardy, tępy ból, którego przyczyny do końca nie rozumiał.

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Przecież powinien odczuwać ulgę... Przecież wcale nie chciał poślubić Carly O'Reilly...

Naprawdę?

Carly kupiła choinkę. Był to ostatni dzień przed Wigilią i jedyne drzewko, które stało przed sklepem spożywczym, wyglądało naprawdę żałośnie. Carly ulitowała się nad nim i postanowiła ofiarować mu dom na święta.

Nie miała jednak pewności, czy bardziej współczuje drzewku, czy sobie samej.

Przecież tego właśnie chciałaś, powtarzała sobie w kółko. Nie chciałaś spędzić świąt w gronie rodziny... Mogłaś pojechać na święta do Rolanda... Nadal jest aktualne zaproszenie Johna...

Ale nie zamierzała skorzystać z żadnej z tych propozycji. Chciała wyłącznie Pirana... Pragnęła, by ten sen trwał wiecznie; pragnęła budzić się w ramionach Pirana, tulić go, kochać, planować wspólną przyszłość z nim i z Arthurem. Och, Arthur.

Wspomnienie ostatnich wydarzeń nadal wywoływało szok. Co by zrobił Piran, gdyby Des i Angelika przyjechali później? Zbyt późno? Gdyby prawda wyszła na jaw dopiero po jej ślubie z Piranem?

Dzięki Bogu, że tak się nie stało! Nie zniosłaby świadomości, że Piran wpadł w pułapkę - w dodatku nie z własnej winy.

Ale obecnej sytuacji wcale nie znosiła lepiej.

Zrobiła jednak wszystko, by wprowadzić świąteczny nastrój. Włączyła płytę z kolędami, odkurzyła mieszkanie, wreszcie ustawiła choinkę naprzeciwko okna, skąd rozciągał się widok na ogród i park. Gdy wyjmowała z pudełka lampki, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Ostatnia szansa! - odezwał się radosny, męski głos.

- Och, John, nie mogę...

- Ależ możesz - nalegał. - Wyjeżdżam za dwie godziny. Masz jeszcze mnóstwo czasu na spakowanie rzeczy. Przecież skończyłaś tę książkę?

- Mam jeszcze przy niej trochę pracy - broniła się Carly.

Gdy trzy dni temu wróciła z Conch Cay, wyjęła maszynopis z teczki i położyła go na biurku ustawionym między pokojem a małą kuchnią. Mijała go przynajmniej pięćdziesiąt razy dziennie. Dzięki temu nie mogła zapomnieć, że powinna nad nim jeszcze popracować.

Tak jakby w ogóle mogła zapomnieć!

Od czasu do czasu brała go do ręki, by przejrzeć go po raz ostatni, ale zamiast tego stała, przyciskając go do piersi i kołysząc się z nim do przodu i do tyłu, tak jak zaledwie kilka dni temu kołysała Arthura.

Arthur. Piran...

Gdyby nie ten maszynopis, wszystko wydawałoby się snem. Może powinna sobie wmówić, że to naprawdę był sen...?

Nie potrafiła. Wspomnienia były zbyt realne, zbyt żywe. I zbyt bolesne.

- No, Carly, co ty na to?

- Och, John, naprawdę nie mogę. Twoi rodzice mogliby odnieść mylne wrażenie, że...

- Że się lubimy?

- Że traktujemy się poważnie.

- Ja jestem poważny - oświadczył John, a gdy się nie odzywała, spytał: - Nie możesz wykrzesać z siebie odrobinę powagi?

- Jesteś cudownym przyjacielem - powiedziała szczerze, ale nie potrafiła dodać nic więcej. Wiedziała, że go zraniła.

- Słaba pociecha.

- Naprawdę bardzo cię lubię, John. Wesołych Świąt!

- Wesołych Świąt, Carly.

Być może powinna z nim pojechać... Może, gdyby z nim wyjechała, zaczęłyby patrzeć w przyszłość, zamiast oglądać się za siebie?

Odkładając słuchawkę, doszła do wniosku, że zachowała się nierozsądnie. Piran jej nie kochał. A z Johnem być może mogłaby ułożyć sobie życie?

Ale gdy godzinę później zadzwonił dzwonek - i domyśliła się, że to John, wyjeżdżając z miasta, postanowił dać jej ostatnią szansę - nadal nie potrafiła wykrzesać z siebie

odrobiny entuzjazmu. Właściwie nie mogła nawet zmusić się do zejścia na dół i otwarcia drzwi. Odejdzie, przekonywała się. Zrezygnuje i odejdzie. Ale dzwonek wciąż dzwonił i dzwonił. John najwyraźniej nie chciał zrezygnować.

Carly podniosła się z sofy i poszła do łazienki; zdesperowana odkręciła wodę, a dłońmi zatkała uszy.

Po kilku minutach zakręciła wodę i weszła do pokoju. Cisza. Odetchnęła z ulgą.

Usłyszała pukanie do drzwi.

Do licha! Widocznie zadzwonił do wszystkich mieszkań w budynku i ktoś wreszcie go wpuścił... Carly z rezygnacją podeszła do drzwi.

- John, mówiłam ci... - Ale to nie był John. - Piran?

- We własnej osobie. - Z podróżną torbą w ręku, energicznie wkroczył do mieszkania. - Kto to jest John?

- Co tutaj robisz?

Przyglądali się sobie w oszołomieniu. Oczy Pirana pałały złością.

- Zamknij, do licha, drzwi - burknął. - I powiedz wreszcie, kim jest John!

Carly stała jak wmurowana w ziemię; opierała się o futrynę drzwi, szczęśliwa, że ma się o co oprzeć.

- Przyjaciel - powiedziała słabym głosem. - Chciał, żebym z nim wyjechała... Ale, co ty tutaj robisz? - powtórzyła.

- Spałaś z nim?

- Co takiego? - zawołała wzburzona.

Na szyi Pirana pojawił się krwisty rumieniec. Charakterystycznym gestem przecesał do tyłu włosy.

- Przepraszam, zapomnij o tym - wybełkotał.

- Nie mogę zapomnieć! Jak możesz zadawać mi takie pytanie po tym, jak ty... jak ty i ja...

- Wiem, wiem! - Z wściekłością kopnął dywanik. - Dlatego proszę cię, zapomnij.

Carly zacisnęła usta w wąską linię. Starła się opanować drżenie całego ciała.

- Odpowiedziałam na twoje pytanie. Teraz, twoja kolej. Dlaczego tu przyjechałeś? Czego ode mnie chcesz?

- Wyjechałaś...

Smutny ton jego głosu zaskoczył Carly. Przyjrzała mu się uważnie.

- Myślałam, że będziesz zadowolony. - Dlaczego? - Zmarszczył brwi.

- Des i Angelika uwolnili cię... przynajmniej od Arthura. Ale pozostawałam ja... - Wzruszyła ramionami, lekko zakłopotana. - Nie chciałam usłyszeć od ciebie, że ze względu na nowe okoliczności zrywasz zaręczyny. Wolałam usunąć się sama... Wiedziałam przecież, że w głębi duszy nie chciałeś się ze mną ożenić. - Opuściła powieki, ponieważ czuła, że zaczęło jej się zbierać na płacz.

- To prawda - przyznał cicho, pochylając głowę.

Carly straciła resztki nadziei; nerwowo przełknęła ślinę i spojrzała na Pirana.

- A więc... a więc, o co ci chodzi? - wymamrotała. Piran zawahał się, potem gwałtownie wciągnął powietrze i powiedział zdecydowanym głosem:

- Chodzi o to, że chcę tego teraz.

Wypowiedział te słowa tak szybko, że Carly straciła orientację, czy w ogóle je usłyszała.

- Słucham? - Wolała się upewnić.

- Chcę się z tobą ożenić. - Uniósł kącik ust. - Co za ironia, nieprawdaż? Przez dziewięć lat pragnęłaś mnie poślubić, ale cię odtrącałem. Potem doszliśmy do porozumienia ze względu na dobro Arthura. A teraz, gdy Arthur nas już nie potrzebuje, ty odchodzisz... Ale ja nie mogę ci na to pozwolić.

Carly wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego? - spytała drżącym głosem. Miała wrażenie, że śni; rozejrzała się szybko po mieszkaniu, by nabrać pewności, że to nie był sen.

Wzrok jej padł na leżący na biurku maszynopis, potem na niezbyt piękną choinkę do połowy tylko przyozdobioną lampkami. Wreszcie z powrotem spojrzała na Pirana St Justa; w jego oczach dojrzała wyraz zniecierpliwienia.

- A jak myślisz? - powiedział ostro.

Carly bezradnie potrząsnęła głową. Niczego już nie była pewna.

- Dlaczego przyjechałeś, Piran? - powtórzyła stłumionym głosem, ledwie ośmielając się mieć nadzieję. - Dlaczego chcesz się ze mną ożenić?

Roześmiał się krótko, urywanie.

- Nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić, prawda? - Grdyka poruszała mu się nerwowo. Zakołysał się na piętach do przodu i do tyłu. - Z tradycyjnych powodów, jak sądzę - powiedział rzeczowym tonem. - Ponieważ kocham cię, Carloto! - Patrzył na nią tak, jakby wyzwiał ją na pojedynek. Ona jednak nie zamierzała wojować; uśmiechnęła się lekko.

- No, dalej, śmieć się! - parsknął. - A potem możesz wyjechać sobie z tym swoim Johnem. Powiedz tylko, że mnie nie chcesz i szybko zniknij z mego życia!

- Nie mam zamiaru. - Teraz ona spojrzała nań z wyzwaniem w oczach. - Ponieważ ja również cię kocham... - Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Gdy uniosła głowę, by go pocałować, Piran jęknął z ulgi i zadowolenia.

Był to równie gwałtowny i zachłanny pocałunek jak ten, którym się obdarzyli dziewięć Jat temu. A jednocześnie był równie słodki i czuły jak pocałunki, którymi się obsypywali zaledwie przed kilkoma dniami. To była prawdziwa ekstaza.

Po długiej chwili Piran oderwał się od jej ust i spytał głosem pełnym nadziei, a zarazem zdumienia:

- Chyba nie mówisz tego poważnie?
- Tak to zabrzmiało? - Carly wybuchnęła śmiechem.
- Nie, ale... O Boże, właściwie powinnaś mnie nienawidzić. Czy jesteś całkiem pewna?
- Kocham cię od wielu lat, Piran. To raczej ja powinnam cię spytać, czy ty mówisz poważnie. Jeszcze tydzień temu mnie nie kochałeś.
- Ależ kochałem. - Uśmiechnął się z goryczą. - Tylko nie zdawałem sobie sprawy. I nie chciałem się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Dopiero gdy Des wytrącił mi z rąk główny argument, a właściwie pretekst, z powodu którego miałem cię poślubić, zrozumiałem, że naprawdę tego pragnę.
- Napotkał jej spojrzenie i nie spuszczał z niej wzroku, aż Carly zobaczyła w jego oczach wszystko, co zawsze pragnęła zobaczyć.
- Delikatnie dotknęła jego policzka.
- Czy nadal potrzebujesz pretekstu? - spytała nieśmiało.
- Już nie. - Pocałował ją znów, gorącymi wargami przekazując swoje myśli. - Mam najprawdziwszy powód na świecie: kocham cię.
- Och, Piran! - Przytuliła go mocniej, oddała pocałunek i w ogóle nie protestowała, gdy zaczął rozpinać guziki jej bluzki...
- Czy masz jakiś szczególny sentyment do świątecznej choinki? - spytał Piran późnym rankiem, gdy Carly w swej maleńkiej kuchni przygotowywała śniadanie.
- Lubię ją. Dlaczego pytasz?
- Na Conch Cay przywlokłaś drzewko do domu, a widzę, że tutaj też masz ubraną choinkę. - Popatrzył na drzewko nie do końca ozdobione, ponieważ wczoraj wieczorem Carly wraz z Piranem mieli bardziej interesujące zajęcie.

- Choinka przywodzi mi na myśl prawdziwy dom, rodzinę, uosabia nadzieję... - Carly zamyśliła się. - Właściwie nie zastanawiałam się nad tym, aż do twego przyjazdu...

- Rozumiem. - Pochylił się i z torby stojącej przy sofie wyjął jakieś zawiniątko. - Otwórz - poprosił.

Carly rozwinęła pakunek; wewnątrz, owinięte w chusteczki, leżały te same drobiazgi, które powiesiła na choince na Conch Cay: przynęty, muszelki, kawałki sieci i drewna.

Spojrzała na Pirana zdumionym wzrokiem.

- Przywiozłeś ozdoby z tamtej choinki?

- Były nasze, nie Desa i Angeliki. Nasz dom, nasza rodzina, nasza nadzieja - powiedział poważnym tonem, patrząc Carly prosto w oczy, ona zaś uśmiechnęła się, dotykając palcem jego policzka. Pocałował jej dłoń. - Gdy zdejmowałem je z drzewka, jeszcze nie wiedziałem, co z nimi zrobię... Des myślał, że oszalałem. Naprawdę. - Zawahał się i wreszcie spytał: - Czy możemy powiesić je na twojej choince?

- Na naszej choince - poprawiła go Carly.

Gdy wieczorem skończyli ubieranie, Carly zgasiła wszystkie światła prócz lampek na choince, zapaliła jeszcze dwie świece, a potem skuliła się obok Pirana na sofie.

- Czyż nie jest piękna?

- Piękna - zgodził się. - Ale myślę, że brakuje jej jeszcze czegoś, o tutaj. - Wskazał puste miejsce.

- Możemy powiesić kawałek drewna...

Piran chwycił ją za rękę, gdy usiłowała wstać. Jeszcze raz sięgnął do swojej torby i podał jej małą torebkę.

W torebce znajdowały się dwie mniejsze paczuszki. Carly spojrzała pytająco na Pirana, a gdy skinął głową z aprobującym uśmiechem, otworzyła pierwszą paczuszkę. Było to małe, pokryte aksamitem pudełko. Wewnątrz leżał pierścionek z dużym, pojedynczym brylantem.

- Mówiłem ci, że idę zrobić świąteczne zakupy - wyjaśnił.
- Ale... - zdziwiła się - ale to było, jeszcze zanim przyjechał Des...

- Już wtedy nie miałem żadnych wątpliwości co do naszego małżeństwa. Co prawda, nie chciałem się do tego przyznać, ale wewnątrznie byłem przekonany. Będziesz go nosić, Carly?

Carly nawet nie próbowała ukryć łez.

- Na zawsze - obiecała.

Wsunął pierścionek na jej palec, pocałował ją, a potem poprosił:

- Otwórz drugą paczkę.

Drżącymi palcami rozwinęła papier, potem otworzyła małe, kartonowe pudełko.

- Ależ to jest łódka dla Arthura! - Spojrzała na Pirana szeroko otwartymi oczami. - Powinieneś mu ją zostawić.

- Zostawiłem. Każdy mały chłopiec powinien mieć swoją łódkę. Przed wyjazdem kupiłem drugą... Może to była głupota, może desperacja, może po prostu przejaw miłości do ciebie... Tak czy inaczej, powodowała mną szalona nadzieja... - przerwał, pociągając ją w swoje ramiona - szalona nadzieja zakochanego mężczyzny, że pewnego dnia być może będziemy mieli własnego Arthura...